№ 48. Warszawa, dnia 28 (16) Listopada 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

OD REDAKCYI.

Hasła i zasady wszelkiego handlu odbiły się i w prasie peryodycznej. I w niej również słyszymy dwa znane okrzyki — angielski: „drogo a dobrze" i niemiecki: „tanio a źle." Odpowiednio do tych godeł współzawodnictwo wydawnicze rozwija się w dwu kierunkach — ilości i jakości, nakładcy usiłują przelicytować się wobec nabywców albo zadrukowanym papierem, albo wartością dostarczanych artykułów. Narody wielkie, które posiadają wielomilionowe zastępy czytelników, mogą i umieją czasem oba te względy godzić: widzimy tam rzeczywiście pisma dobre i tanie, ale liczące po kilkadziesiąt i kilkaset tysięcy abonentów. Co innego społeczeństwa drobne: tu, w szczupłem kole prenumeracyjnem, każde nadmierne obniżenie cen musi odbywać się kosztem wartości literackiej a nieraz i moralnej. Wydawcy, zobowiązawszy się do usług, których rzetelnie spełnić nie mogą, naśladują liwerantów wojskowych, zaprawiających mąkę piaskiem: dają produkt lichy, wyzyskują swych współpracowników i głodzą lub trują spożywców. Tak się dzieje wszędzie.

Od niedawna rozpoczął się w naszej prasie gorączkowy ruch współzawodniczy. Ruch ten wszakże niemal wyłącznie bieży w kierunku taniości, a nawet dosięgł jej kresów. Pomijając jego przejawy fałszywe, na pozorach (sztuczkach drukarskich), na durzeniu abonentów oparte, mamy rzeczywiście pisma peryodyczne tańsze, niż jakikolwiek naród w Europie. U nas nikt nie odważyłby się pobierać rocznie kilkadziesiąt rubli za dziennik a kilkanaście za tygodnik — według norm zagranicznych. Gdyby z tym spadkiem cen rosła równolegle, chociażby słabiej, wewnętrzna wartość wydawnictw, mielibyśmy fakt bardzo pocieszający. Na nieszczęście zachodzi stosunek odwrotnie proporcyonalny. Prasa nasza — jak woda — powiększa swą objętość — marznąc. Coraz bardziej napełnia swe kolumny tworami prostego wyrobnictwa i najmu. Pisarzów utalentowanych i ukształconych mało, a ci nieliczni, pokonani podążą taniej pracy przez rzemieślników dziennikarskich, występują rzadko i czepiają się innych zajęć. Sprzedając arkusz druku po 3 lub 4 kopiejki, wydawca ani nie może płacić autorom po 5 lub 10 kop. od wiersza, ani nie potrzebuje, gdy ma na zawołanie „literatów" gotowych „wyrabiać" artykuły po groszu lub dwa. Wylewa się też obecnie z wielu naszych pism na społeczeństwo szeroka rzeka niegramatycznych ćwiczeń, pustych frazesów, pospiesznych tłomaczeń, zielonogłowego reformatorstwa — całej tej galanteryi dziennikarskiej, która tanio kosztuje, chwilowo błyszczy a żadnego trwałego znaczenia nie posiada. Ile prasa polska zyskała na obszarze, tyle straciła na głębi — poziom jej tak obniżył się, że przedstawia ona dziś obraz szerokiego, ale w znacznej części płytkiego i błotnistego jeziora.

Prawda mogłaby również pójść za tym pędem i obdarować swych abonentów kilkoma funtami więcej papieru, gdybyśmy na tej drodze szukali powodzenia dla siebie a pożytku dla czytetników. Jest to przedsięwzięcie bardzo łatwe. Według naszego wszakże poglądu głównem zadaniem polskiej prasy winna być dziś troska nie o mnożenie bibuły, ale o doskonalenie treści. Chcemy koniecznie być istotnym organem literatury. Dajemy prenumeratorom naszym rocznie za 8 rs. przeszło 100 arkuszy druku, zawierających w przeważnej części artykuły oryginalne, prace talentu i wiedzy. Przy obecnej liczbie abonentów naszych więcej im dać nie możemy, gdyż **Prawda**, niekorzystająca wcale ani z autorstwa bezpłatnego, ani z wynagradzanego mizernie, nie przynosi żadnej „renty" swemu wydawcy, lecz cały dochód rozdziela między tych, którzy w niej i dla niej pracują. Uzyskaliśmy już pozwolenie na kwartalnik naukowy, który, jeśli liczba naszych przedpłacicieli wzrośnie, zamierzamy dodawać do **Prawdy**; przy dotychczasowym wszakże ich zastępie i wobec ogólnego zdrętwienia stosunków ekonomicznych i ruchu księgarskiego byłoby to ofiarą, która by nas zaprowadziła niewątpliwie do materyalnego upadku, jeślibyśmy nie chcieli równoważyć jej partactwem i wykrętami. **Prawda** zaś nigdy nie będzie fabryką literackiej tandety — dla nas wstrętnej, dla czytelników bezużytecznej, a dla piśmiennictwa szkodliwej. Jeżeli w porze obecnej, tak zniechęcającej do działania publicznego, tak ogołoconej z pobudek silniejszych, tak martwej i dusznej — jeśli w porze tej coś nas ożywia, podnieca, wzmacnia, to przedewszystkiem wiara, że nie prowadzimy handlu zadrukowanym papierem, ale uprawiamy sumiennie i umiejętnie je-

den zagon literacki, że przyczyniamy się do powiększenia zasobów umysłowych ogółu, że praca nasza w życiu duchowem społeczeństwa nie przepada z chwilą bieżącą.

W kierunku tej zasady a pod dotychczasowym sztandarem, jako stróże dodatnich właściwości i istotnych skarbów narodu, jako synowie tej ziemi, która nas zrodziła, jako wyznawcy swobody przekonań, jako czciciele niepodległej wiedzy, jako rzecznicy zdrowych pierwiastków społecznych, jako obrońcy pokrzywdzonych i oskarżyciele krzywdzących — rozpoczniemy szósty rok istnienia **Prawdy**. Obok starań o zyskanie dla niej piór dzielnych, w samym układzie pisma zaprowadzimy zmiany, które nam pozwolą prędzej, pełniej i wyraźniej odzwierciedlać postęp myśli ogólno ludzkiej i swojskiej. Starsi abonenci **Prawdy** pamiętają, że błyskanie obiecankami nie jest jej zwyczajem i środkiem; poprzestajemy więc na tej krótkiej wzmiance i pozostawiamy szczegółowe wyjaśnienie jej nie wyrazom, ale spełnionym w nadchodzącej dobie czynom.

Bezpłatnym dodatkiem pragniemy zaopatrywać abonentów naszych bądź w poważne, klasyczne dzieła naukowe, bądź w gruntowne podręczniki. Po ukończeniu w bieżącym kwartale **Ekonomii politycznej**, damy krótką, treściwą, jasną **Logikę Liarda**, uznaną za najlepszą książkę pomocniczą, jakiej właśnie literatura nasza nie posiada.

Nakładem **Prawdy** wyjdzie wkrótce (w grudniu) ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Tylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach do stosunków ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; **do nowego roku** wszakże robimy ustępstwo dla abonentów naszych, którzy nabyć ją mogą za rs. **1** k. **50**.

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

BRATOBÓJCZA WOJNA.

Pobratymcy nasi sprawili sobie tedy wojnę. Serbowie i bułgarowie mordują się wedle reguł sztuki. O cóż im chodzi?

Konia z rzędem śmiało ofiarować można temu, co na zapytanie to da odpowiedź, racyonalnie usprawiedliwiającą tę hecę bratobójczą.

Bratobójczą jest wojna każda. Postęp togo już dokazał, że dla opinii tej uzyskał uznanie powszechne. Atoli zachodzą różnice, które zaznacza stosunek pokrewieństwa. Najbardziej bratobójczą jest wojna taka, jaką w r. 1866 toczyły Prusy i Austrya, wojna w której (pod Skalicami np.) pułki galicyjskie biły się z wielkopolskimi. Było jednak na to usprawiedliwienie. Gdyby z jednej strony nie „najserdeczniejsi nasi,“ z drugiej nie „rząd ojcowski,“ do potworności podobnej byłoby nie przyszło. Nie na tych przeto, co się bili, ale na tych, co bijących się szczuli, spada odpowiedzialność za to, że Bartek z pod Sącza mordował Bartka z pod Krotoszyna i na odwrót, i występował w charakterze „Bartka zwycięzcy,“ postaci świadczącej, że człowieka z łatwością na psa przerobić można. Smutne to i bolesne. Brat mordował brata—nie z własnej jednak woli przynajmniej. Bartka jednego i drugiego o ochotę strzelania sobie wzajemnie we łby i kłucia się bagnetami nie pytano nawet. Zawołano na nich: „hajże!“ ochoty dodał harapnik niemiecki—poszli i dokazywali... „cudów waleczności.“ Waleczność owa przeto usprawiedliwia się, jakoteż usprawiedliwia się i szczucie, pochodzące z głębokiej myśli politycznej. Spodziewać się możemy kiedyś historyi takiej: Bartków sprowadzą, ustawią ich jednych naprzeciwko drugich, poszczują i bić się im każą tak długo, aż nastąpi pomiędzy nimi całkowite *Ausrotten* i będzie koniec—waleczności.

Tyczy się to polaków. Ale—cóż znaczy ta wojna pomiędzy posiadającymi protekcye różne i swobody polityczne serbami a bułgarami?

Nie masz następstwa bez przyczyny. Wojna serbsko-bułgarska, której się Europa przez ramie przypatruje, nie usprawiedliwia się, ale się tłomaczy. Wytłomaczyłem ją pięć lat temu w półtrzecia arkuszowej broszurce, wydanej (r. 1880) pod tytułem: *Le congrès de Berlin et les Slaves du Sud.* Rozbiorę ją tu w krótkości jeżeli nie dla czego innego, to dla wykazania, że historya powtarza się. Podobieństwo przyczyn i podobieństwo warunków prowadzi do następstw podobnych. Broszura wyżej wymieniona porównywa obecny stan rzeczy na półwyspie bałkańskim z tym, jaki istniał za czasów cesarstwa Byzantyjskiego.

„Bułgarowie i serbowie (str. 5) wytworzyli dwa państwa, toczące z Byzancyum spór o posiadanie półwyspu bałkańskiego. Walka ciągnęła się nie krócej, jak wieków siedem i manifestowała się (ujawniała) za pomocą wojen ustawicznych, dzięki którym prawo oparte na podboju fundowało się na czynach dokonanych. Była to walka polityczna i narodowa zarazem. Cesarze byzantyjscy rościli pretensye panowania jako

---

LEONIA.

II.

Palące, skwarne lipcowe powietrze dawało się we znaki.

Najgorętsze miesiące rodzina Leonii musiała przebyć w mieście dla zajęć ojca, które mu nie pozwalały wyjechać przed początkiem jesieni.

Zebrania towarzyskie ustały; znajomi rozprysnęli się w różne strony świata. Przyszły nieznośne, uporczywe miejskie nudy. Trzeba było czas zabijać jakkolwiek: wyglądaniem przez okno do południa, bujaniem się w fotelu od południa z książką w ręku, otwartą zawsze na trzynastej stronie, wreszcie — przejażdżką w aleje o zmroku.

Dnie zdawały się miewać po dwadzieścia cztery godziny...

Rodzice ubolewali nad jedynaczką. Dla urozmaicenia wieczorów prowadzili ją do teatru, lecz najokazalsze *ut* tenora i najpowiewniejsze *pas* pierwszej tancerki wychodziły blado wobec pustych lóż i krzeseł. Cyrku nie było. Wycieczki za miasto w rodzinnem kółku nie miały uroku.

W tym samym domu, na tem samem piętrze zamieszkał od miesiąca artysta rzeźbiarz.

Wychodząc raz od siebie, spostrzegł Leonię, dzwoniącą do drzwi swego mieszkania.

Uderzyły go jej rysy, nadające się znakomicie do odtworzenia dłutem.

Po usilnych staraniach znalazł znajomego, który go wprowadził do państwa P.

Za pierwszą bytnością zaraz prosił rodziców Leonii, aby mu pozwolili zdjąć twarz jej do popiersia kobiety, które miał posłać na zagraniczną wystawę.

Matka, sądząc, iż nowość rozerwie córkę, przystała chętnie i sama zaczęła jej towarzyszyć codziennie do pracowni artysty.

Popiersie już było do połowy gotowe.

Artysta pieścił się z każdą żyłką na skroniach i szyi modelu, wykończając je misternie.

Twarz Leonii patrzyła z białego marmuru pustemi, wklęsłemi źrenicami, od których wiał chłód i brak duszy.

Matka utrzymywała, iż podobieństwo między kopią a oryginałem było ogromne.

Raz wywołano ją przypadkowo z pracowni. Wyszła, oznajmiając, iż za chwilę wróci.

Artysta, zmęczony całogodzinną robotą, położył dłuto, spuścił zasłonę na połowę ogromnego weneckiego okna, przez które wpadały snopy południowego słońca, wskazał Leonii miejsce na kanapce, postawionej na poprzek pokoju za marmurowym posągiem Wenus, wychodzącej z fal morskich; sam usiadł na niziem gipsowym postumencie, który podsunął do kanapki.

Na grupy rzeźb pokończonych i poustawianych między palmy i drobne akacye, padało gorące światło słońca, wsuwające się przez jedną połowę okna. Reszta biustów i posągów, pozaczynanych, zakrytych płótnem, stała w cieniu.

Powietrze było suche i duszne. Artysta chłodził się chustką, ścierając nią pot z czoła i szyi.

Skwar usposabiał do milczenia; nie mówili więc oboje. Leonia, wyciągnięta na kanapie w cieniu, patrzyła na marmurowe odbicie swej twarzy, połyskujące w słońcu.

Westchnęła wreszcie słabem, gardłowem „ah!“ i, przewiesiwszy głowę przez boczną poręcz kanapy, zakryła ją wachlarzem.

— Co to znaczy? — spytał artysta, wstając z niskiego swego siedzenia.

Nie odsłaniała twarzy, więc ostrożnie, powoli odciągnął jej rękę z wachlarzem, nakierował głowę tak, że oparła się o sam grzbiet kanapy, przysunął gipsowy swój postumencik, siadł u nóg Leonii i, wziąwszy jej rękę. zapytał ponownie:

— Co to znaczy?

Twarz jej oblał słaby rumieniec. Błądziła oczami po rzeźbach, wreszcie wstała,

władzcy, a przynajmniej, jako zwierzchnicy i grecy, podtrzymując te ich pretensye, uważali siebie w stosunku do słowian za naród panujący. Królowie bułgarscy i serbscy, broniąc własnej na czele ludów słowiańskich niepodległości, zaprzeczali i odpychali pretensye tak cesarzy jak narodowości greckiej. W poplątaniu tem ambicyj i nastawań wyradzała się i wzrastała nienawiść rasowa i nienawiść ta, podsycając politykę, zasilała i wywoływała wojny. Wiecznie zachwiewana na półwyspie bałkańskim równowaga mogła się utrzymywać nie inaczej, jak za pomocą sprzymierzania się słabszych przeciwko mocniejszemu i wspierania się interwencyami zagranicznemi a interesownemi. Śród tych między trzema mocarstwami walk raz jedno, znów drugie brało górę. Bułgarya była najsilniejszą za Symeona Wielkiego (w. X.); Serbia wysoko się wzniosła za panowania Duszana Silnego (XIV). Od czasu do czasu Byzancyum, dzięki cesarzom kilku, wojownikom lub dyplomatom, takim jak Jan Zymisces, Bazyli II, Aleksy Komnen, Michał Paleolog, odzyskiwało przewagę. Wojny nie ustawały. Były one straszne, okrutne, jak ta np., która na cesarza Bazylego sprowadziła przydomek „Bulgarotochtona.“ Nie straszliwość ich atoli na uwagę zasługuje, ale ten fakt, że były one nie do uniknienia, że stanowiły stan rzeczy, wynikający, jako następstwo konieczne ze spółistnienia trzech monarchij, zamkniętych w jednych i tychże samych szrankach zwartych. Może, gdyby państwa te pod inną ukonstytuowane były formą, rzeczy ułożyć by się dały.“

„Może“ owo odnosi się do starożytności bardzo odległej i wskrzesa obecnie. W starożytności znalazł się na nie regulator pod postacią państwa Ottomańskiego, przywoływanego raz przez greków przeciwko bułgarom i serbom, znów przez bułgarów przeciwko grekom i serbom, dalej przez serbów przeciwko bułgarom i grekom, w charakterze bądź sprzymierzeńca, bądź rozjemcy. Wiadomo, jak się to sprzymierzanie i rozjemstwo skończyło. Zaświtał atoli koniec i dla państwa ottomańskiego, które w oczach naszych zajęło stanowisko wysadzonego przez nie z siodła cesarstwa byzantyjskiego. Nazwy się niektóre zmieniły; rzecz odtworzyła się tak samo. Ambicye, które wieków temu cztery z górą oręż turecki w niwecz obrócił, odżyły w całości, podsycone poczuciem krzywd wiekowych, i pomnożone przyrostem pretensyj. Dawniej o albańczykach nie wiedziano, ani słyszano—dziś Albania występuje; dawniej Czarnogóra nie była nawet wyrażeniem gieograficznem—dziś jest pretendentką do panowania na półwyspie bałkańskim z koroną cesarską na głowie; dawniej wreszcie w półwyspie nie tkwił klin austryacki, stający do spółzawodnictwa z ambicyami, wybuchłemi nagle z pod dzwona pneumatycznego, jakim je przykrywała Turcya. Złe dawniejsze występuje jak dawniej, ale w powikłaniu spotęgowanem. Spółzawodniczą ze sobą nie, jak przed wiekami, trzy państwa, ale państw siedm ukonstytuowanych i jedno ukonstytuowania się domagające, a tymczasem mordujące nasyłanych mu przez Wysoką Portę z perswazyami komisarzów.

Wyliczymy państwa te wedle starszeństwa: Austrya, Turcya, Grecya, Rumunia, Serbia, Bułgarya, Czarnogóra i Albania. Ośm—prawda? Przedstawmy sobie państwa te pod postacią rodzin zamieszkałych w jednym domu, pod jednym dachem i mających każda z osobna pretensyę do posiadania domu tego na własność, gospodarowania w nim po swojemu! W takim rzeczy stanie teoretycznie zgodę wyrozumować można, ale jej praktycznie utrzymać nie sposób. Pokazało się to dowodnie na Serbii i Bułgaryi.

Serbia wystąpiła jako strona zaczepna. Wystąpienie jej cechuje ten fatalizm, który się przejawia w całej historyi półwyspu bałkańskiego, od chwili najścia bułgarów. Na wieść o rewolucyi filipopolskiej Serbia się zaniepokoiła; rząd powołał pod broń naród, nie wiedział jednak ani na co, ani przeciwko komu. Najpierwsze, na echa rzucone hasła szły w kierunku Starej Serbii i zwracały się przeciwko turkom. Gdyby Bułgarya zmuszona była z Turcyą wojnę toczyć, Serbia by jej pomagała, ponieważ jednak do wojny nie przyszło—na nią się zwróciła. Pchnęła ją na Sofię ta potrzeba wojowania, której racyę znajdujemy w tem tłomaczeniu, że król Milan postradał by koronę, gdyby wojska pod broń powoławszy, do domów rozpuścił. Dobra racya!.. Dla tego, żeby król Milan korony nie postradał, serbowie i bułgarowie, którym wszystko jedno, czy potomek Miłosza, czy prawnuk Karagieorgia, czy kto inny w koronę się będzie ubierał, zabijają się i kaleczą secinami całemi. Tak jednak bywało dawniej. Serbowie i bułgarowie, przedtem nim ich turcy pogodzili, nigdy się za bary nie brali o co innego, jak o utrzymanie koron na głowach monarchów swoich.

Uruchomienie wojsk serbskich chybiło celu pierwotnego. Zachodzi pytanie ciekawe: czemu rząd króla Milana od zamiaru wojowania z Turcyą odstąpił? — czemu upomnienia się o Starą Serbię zaniechał? Odpowiedź jest jasna. W stronie tej natknąć by się musiał na dwa szkopuły: na ludność miejscową, niegdyś serbską, dziś albańską, która zgoła przyłączenia do Serbii nowej sobie nie życzy, i na wojska tureckie liczne, wyćwiczone i waleczne, z któremi sprawa byłaby nie łatwa. Gdyby się w wojnę tę wdał, nie powróciłby z niej z laurami i—co gorzej—nie trafiłby z powrotem do dworca królewskiego. Z racyi tej na Bułgaryą słabszą, nieposiadającą siły zbrojnej dostatecznej i oficerów doświadczonych, zapewniającą przeto laury łatwiejsze, oręż swój zwrócił. Rzecz ściśle biorąc, nie jest to po rycersku, zwłaszcza, że wynaleziony w chwili ostatniej *casus belli* przed żadnym najbardziej cygańskim trybunałem usprawiedliwić się nie da. Chodzi o przyłączenie do Serbii prowincyj, których od niej Bułgarya nie odrywała i do których—jeżeli przeszłość dawną, bardzo dawną na uwagę weźmiemy—równie dobre prawo ma Bułgarya, jak Serbia. Prowincye te przysądził Bułgaryi kongres berliński. Z jakiegoż tytułu o nie Serbia jej się czepia? Ani z honorowego, ani z prawnego punktu wojna ta nie przynosi spadkobiercy Niemaniczów zaszczytu.

Jest jednak jeszcze punkt jeden, z którego się ona przedstawia wprost wstrętnie.

Bułgarya tylko co życiem narodowościowem żyć zaczęła—tylko co z karku jej opadła obroża i naród znajduje się w tych chwilach trudnych, w których dźwiga się z najcięższej, jaka narody spotyka, choroby—z niewoli. W chwilach takich od całej rodziny słowiańskiej należy się jej pomoc życzliwa. Tymczasem jeden z członków rodziny słowiańskiej, zamiast z pomocą, idzie do niej z ogniem i mieczem!

W chwili, kiedy słowa te kreślę, (d. 19 listopada), z Genewy trzydziestu młodzieży bułgarskiej, wysłanej kosztem narodu

---

przeciągnęła się, założywszy ręce na tył głowy i rzekła:

— Zmień mię pan całą w marmur. Tym pana skamieniałym posągom musi być dobrze...

Chodziła od biustu i dotykała każdego z nich.

— Takie zimne — mówiła jakby sama do siebie; przyciskając następnie skronie palcami dodawała: „ja się palę cała...“

Usiadła napowrót.

Artysta przechylił głowę i spojrzał jej w oczy.

Zaczerwieniła się po korzenie włosów, rozrzuconych gęsto nad czołem. Źrenice jej rozszerzyły się, nabierając połysku, który rozognił całą twarz.

Przyskoczył do niej, ukląkł i, trzymając ją za ręce, szepnął:

— Jakaś ty niepodobna teraz do siebie!..

Odsunął koronkową zarzutkę, którą miała na wyciętym staniku, objął ją ramionami i całował w szyję, w piersi

Nie opierała mu się.

W tej chwili marmurowe popiersie, na które padały jaskrawe promienie, zdawało się wydzielać ciepło, bijące z pustych, wklęsłych źrenic i ożywiające martwy koloryt kamienia.

Końcami palców dotknęła czoła artysty i kazała mu spojrzeć na niedokończony biust, mówiąc:

— Patrz, jak twój marmur ożył!

Leżała do połowy na kanapie; piersi jej falowały; usta rozchylone nabierały gorącej, purpurowej barwy; oczy błyszczały.

Rzucił wzrokiem na biust, skąpany w słońcu, lecz nie widział go. Czuł tylko na sobie palący oddech Leonii, czuł ruch jej piersi i tętno dwóch miękkich, owijających go ramion.

Tracił zmysły. Pod powiekami latały mu mroczki. Rozrzucone włosy Leonii łaskotały jego czoło i szyję.

Przycisnął ją mocno, szepcząc słowa uniesienia, których nie kończył.

Nie wystarczyły mu pocałunki i uściski; podniósł rozognioną twarz, jak gdyby miał spytać:

— Czy chcesz, czy pozwolisz?

W sieni dały się słyszeć powolne, suwane kroki.

Leonia skoczyła i podbiegła do lustra, poprawiając włosy oraz zarzutkę, spadającą z ramion.

Weszła pani P.; artysta oznajmił jej, iż „na dziś posiedzenie skończone!“

Odchodzącej Leonii podał sztywnie rękę, nie patrząc jej w oczy.

Nad wieczorem tego samego dnia przysłał służącego z zapytaniem, czy może złożyć wizytę?

Poproszono go.

Przyszedł w oliwkowych rękawiczkach z wyszyciem, w garniturze od Chabou, aby podziękować za wielką uprzejmość obu pań, które raczyły zaszczycać przez kilka tygodni swą obecnością jego pracownię.

— Pani zawdzięczam natchnienie—rzekł, zwracając się do Leonii; jeżeli praca moja zyska uznanie, przyjmę je dla siebie tylko w połowie...

Rzuciwszy jeszcze kilka zaokrąglonych okresów, pełnych wymuszonej grzeczności, oznajmił wreszcie, iż biust wykończony o tyle, że sam obecnie nadal pracować nad nim może.

— Przykro mi — dodał, zwracając się ponownie ku Leonii, że tak długo cierpliwość pani wystawiałem na próbę, lecz my, artyści, jesteśmy pasorzytami: musimy nakarmić się do syta spojrzeniami ładnych oczu, urokiem czarujących ust, aby stworzyć coś godnego pojęcia o sztuce...

Posiedział z pół godziny w salonie. Zapadający zmierzch rozprowadził do koła szary koloryt. Głowa Leonii w półcieniu, na tle krzesła w stylu Henryka IV, rysowała się jak płaskorzeźba.

Wychodząc, myślał sobie:

— Szkoda, że nie jest sama: pyszny egzemplarz na kochankę...

Z lubością wspomniał o skradzionych z rana uściskach i pocałunkach, lecz natychmiast dodał sam do siebie:

— Trzeba unikać; niebezpieczna gra; gotowi za kołnierz poprowadzić do ołtarza...

Pogwizdując aryę: „la donna e mobile“ wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do teatru na balet.

w tym celu, ażeby się w kraju stała krzewicielką światła, spieszy na teatr wojny— uniwersytet opuszcza, nauki rzuca. Serce się na to krwawi.

Obrzydliważ bo to wojna!

Obrzydliwa i ze względu na tory narodów na półwyspie bałkańskim ważna, stanowi ona początek—przykład, który naśladowców znajdzie. O tem wątpić nie można. Dowodem Grecya, która się uzbroiła, i nie wie, z kim wojować. Obyż jaknajdłużej w nieświadomości tej pozostawała! Z drugiej zaś strony literatura polityczna rumuńska poucza nas, że Rumunia pokrzywdzoną została straszliwie z powodu, że komisya międzynarodowa granicę dobrudżską wyprowadziła nie z zachodniej, ale ze wschodniej strony Silistryi. Pomiędzy nią a Bułgaryą zachodzi sprawa graniczna, która niezawodnie, dzięki danemu przez Serbię przykładowi, przed trybunał Marsa wytoczoną zostanie. Od czegoż Rumunia wojsko i króla posiada? Rumuni wprawdzie sposobią się do czego innego. Zamyślają oni odebrać od Węgier Siedmiogród, Banat, komitat Marmarosz i coś tam jeszcze, od Austryi Bukowinę, od Rosyi Besarabię, ale, nim to nastąpi, pójdą za przykładem Serbii i będą sobie prostowali granicę. Jakże bo!—chcieli Silistryi i Silistrya się dostała nie im, ale bułgarom? Czy można znieść obrazę podobną? Dziwnem będzie, jeżeli prostowania granicy nie zaczną, zanim się wyprawa serbów na Bułgaryę zakończy. Nie stracimy jednak na czekaniu. Co się przewlecze, to nie uciecze.

Pobieżnie wskazuję kilka dróg wychodnich do zatargów orężnych, wiszących nad państewkami półwyspu bałkańskiego a zapoczątkowanych przez królika Serbii i powtarzam, że jest to konieczność fatalna. Konieczność ta tkwi w porządku rzeczy, wynikłym z całkiem błędnego uregulowania stosunków politycznych, wydanych na pastwę ambicyj chorobliwych. Państewka bałkańskie z góry wskazane są na żarcie się wzajemne. Możeby inny jaki rzeczy porządek zaradził temu.

T. T. Jeż.

PRZESTROGA.

Przed kilku tygodniami zjawiły się w dziennikach wieści o rozruchach włościańskich w Galicyi. Prasa warszawska z nielicznymi wyjątkami pokryła wiadomość tę milczeniem, miejscowa zaś wyraziła wręcz przeciwne poglądy. Jedni (*Czas* i jego klika) sprowadzali całą sprawę do poziomu prostej pogłoski, będącej „tworem karczemnej gawiedzi,“ drudzy dojrzeli w niej zapowiedź groźną rewolucyi chłopskiej. Wobec takich sprzecznych doniesień czekaliśmy na wyjaśnienie dokładne tej ciemnej historyi, obecnie jednak na podstawie zebranych z dzienników różnej barwy informacyj, okazuje się, że wiadomość podana pierwotnie przez *Nową Reformę* zasługuje zupełnie na wiarę.

Oto co pisze liberalny dziennik krakowski:

„Powstanie — w Galicyi! W czterech wsiach powiatu pilzneńskiego, między niemi w Woli Lubeckiej i Zwierkówce rozeszła się pogłoska, iż wybuchło powstanie, że nad granicą rosyjską stoi 10,000 powstańców, a z tej strony polacy kręcą się po lasach. Chłopi wzięli się do cepów, pozaciągali we wsiach warty i wysłali wiadomość do wójta we wsi Jomicy, w tarnowskim powiecie, by uczynił to samo. Wójt ten odpowiedział im jak Cambronne pod Waterloo, lecz władzy nie doniósł o tem. Dalej dowiedzieli się chłopi z pomienionych wsi powiatu pilzneńskiego, że w lasach kręcą się jacyś uzbrojeni panowie. Byli to myśliwi: ks. Sanguszko, hr. Kielsmanegg, pułkownik ułanów z Tarnowa i inni. Chłopi urządzają obławę, lecz szczęściem myśliwi wrócili dawno do domu. Las ten leży na tak zwanej „Świńskiej górze.“ Jakąś babę warty chłopskie rewidowały, bo im ktoś powiedział, że to powstaniec przebrany. Mówią, że istniał także zamiar urządzenia wyprawy na dwory i termin był naznaczony na niedzielę ubiegłą; sądzimy jednak, że to kłaść już trzeba na karb fantazyi, tembardziej podniecone, że owe wsie na granicy powiatów Pilzno i Tarnów pierwsze powstały w 1846 roku. O niepokojach tych zawiadomił starostwo w Tarnowie woźny Rady powiatowej tarnowskiej niejaki Lachowicz, starosta tarnowski wysłał podobno sztafetę do Pilzna z zawiadomieniem, a do wsi owych pchnął całą swą żandarmeryę. Przywódcy są już aresztowani. Czy tam i kto podburzał niewiadomo jeszcze, lecz podają najrozmaitsze powody, o ile prawdziwe wiedzieć nie możemy. Jedni mówią, że księża wzywali do składek na wychodźców, którzy mają przybyć do naszego kraju. Chłopi z wychodźców zrobili powstańców i hejże na Soplicę! Druga pogłoska mówi tak: we wsiach tych urządzali księża misyę, jeden z nich miał powiedzieć: my się tu modlimy a tam panowie po lasach w czasie nabożeństwa strzelają. To miało oburzyć chłopów, którzy i tak są rozdrażnieni z czasów słynnej a w środkach nieprzebierającej agitacyi wyborczej do Rady Państwa. Wszyscy są zdania, że gdyby rząd nie był się wziął energicznie do rzeczy, niepokoje mogły przybrać bardzo przykre rozmiary.“

Przytoczyliśmy dosłownie niemal cały artykuł *Nowej reformy* bo wszystkie zawarte w nim szczegóły charakteryzują rozmaite strony tej potwornej sprawy. Jakkolwiek jednak czyni ona przykre wrażenie, nie jest dla nas niespodzianką, bo niedawno nawet, mówiąc o zjeździe przedstawicieli kółek rolniczych, przepowiadaliśmy, że galicyjscy siewcy wiatru doczekają się zbioru burzy. Teraz mają właśnie zawieruchę, która zapowiada przyszłą nawałnicę. Dzięki wmieszaniu się władz czerwone widmo, które ukazało już twarz swoją, cofnęło się do przybytku ciemnoty, gdzie czas jakiś ukrywać się jeszcze będzie w oczekiwaniu sposobnej chwili. C. k. żandarm wystąpił w roli cudotwórcy, jednoczącego „z szlachtą polską — polski lud“ — w „dwóch chórów zgodne brzmienie.“ Do takich to rezultatów doprowadziła polityka „jedności interesów wszystkich warstw społeczeństwa.“ „zgody chaty z dworem,“ moralnego podniesienia ludu przez opiekę starszych braci i innych frazesów, powtarzanych przez sroki krakowskie, łaknące dla siebie błyskotek. Doprawdy w głowie się kręci, spojrzawszy w tę przerażającą przepaść, pomiędzy inteligencyą i ludem, przepaść, którą zaślepione samolubstwo kopie coraz głębiej, nie bacząc na to, że kiedyś samo w nią runie. Od lat dwudziestu inteligencya galicyjska posiada w ręku wszystkie środki oddziaływania na włościan, ale korzysta z jednego tylko: poi chłopa wódką w przededniu wyborów, ażeby głosował na szlacheckiego kandydata. Zgraja imienników błazeńskich nietylko że sama nie dla ludu nie czyni, ale i nikomu pracować na tem polu nie pozwoli. Postępem, oszustwem, przemocą niweczy lub wykrzywia

---

Leonia przez tydzień, udając się na spacer, pilnowała godziny, w której wiedziała, że sąsiad jej opuszcza pracownię.

Matka wołała nieraz na nią, żeby zbiegła prędzej ze schodów; zawsze jednak to zaczepiała się o coś suknią i musiała poprawiać rozprutą falbanę, to zapominała chustki, parasolki lub portmonetki i wracała kilkakrotnie na górę, spoglądając ukradkiem na drzwi sąsiedniego mieszkania, które jakoś nigdy nie chciały się otworzyć.

Raz usłyszała lekkie poruszenie klamki w chwili, gdy, zostawiwszy matkę na dole, sama weszła po portmonetkę i stała dość długo w sieni przed zadzwonieniem.

Artysta wychylił się, ubrany do wyjścia; spostrzegłszy ją jednak, cofnął się szybko i od tego czasu znacznie opóźnił porę przechadzki.

Leonia nie zastanawiała się nad jego postępowaniem. W każdej chwili, bez usprawiedliwiania się z jego strony, byłaby go przyjęła i dała mu uściski swe i pocałunki powrotnie.

Gdy nie przychodził, zapominała o nim, lecz natomiast odżyły w jej myślach wszystkie dawne ideały. Tęskniła nie za jednym wybranym: tęskniła za wszystkimi. Świadoma swych uczuć, byłaby powiedziała, iż przedewszystkiem tęskni za mężczyzną...

Nieświadomość nietylko nie zwalniała tętna krwi, lecz przeciwnie, przyspieszała je przez działanie zaostrzonej ciekawości.

Leonia zaczęła się skarżyć przed rodzicami na częste zawroty głowy i mroczki przed oczami, na bicie serca i duszność w piersiach.

Postanowiono przybliżyć o ile możności termin wyjazdu za granicę, sądząc, iż gorące, zapylone miejskie powietrze wpływa ujemnie na zdrowie.

Pod koniec sierpnia cała rodzina odetchnęła swobodnie w górach.

* *
*

Przez kilka pierwszych dni pobytu w S. zajęło umysł Leonii przyzwyczajenie się do nowych warunków życia i otoczenia.

Po upływie ich organizm wpadł w dawny niepokój.

Wróciła myślami do zapomnianego chwilowo artysty. Uściski jego towarzyszyły jej wszędzie. Marząc o nich, doznawała dreszczów i odurzenia, graniczącego nieledwie z obłędem.

Gdy brat wprowadzał ją wieczorem na szczyt góry pod ruiny, bielejące w świetle księżyca, i kazał jej zachwycać się urokiem drzemiącej w zmroku doliny i wzgórz, utkanych lasem, jakby koronką i oblanych srebnym blaskiem — patrzyła na wszystko sennemi, obojętnemi oczami, wchodziła i schodziła, jak lunatyczka, powtarzając w myśli: „gdybym go mogła mieć choć na dwa dni!...

Na balu, urządzonym przez miejscowy komitet zabaw, przedstawiono jej polaka, pana Władysława, który od pierwszej chwili okazał niezwykłe zajęcie się rodaczką.

Odtąd co rano dostawała bukiet z niezapominajek i heliotropów. Wracając z lasu przed śniadaniem, spostrzegała na drzwiach swego pokoju girlandy róż i gwoździków, tworzące jej imię.

Po paru tygodniach została narzeczoną, po kilku miesiącach — mężatką.

Szalała ze szczęścia.

Usta jej rozchylały się co chwila do pocałunków, ręce wyciągały do pieszczot. Powtarzała codziennie, że kocha męża pierwszem, jedynem, ostatniem uczuciem.

W rok przybył syn. Rodzina powitała go jednogłośnem uniesieniem. Leonia kazała położyć przy sobie maleńkie, sinawo-czerwone niemowlę z twarzyczką, przechyloną na bok, z zaciśniętemi obiema piąstkami; ściskała namiętnie małego Stasia i nazywała go „swoim skarbem, swoją rozkoszą.“

Władysław, zajęty pracą, przynoszącą znaczne zyski, wracał późno. Zmęczony, nie był w stanie oddawać się jakimkolwiek rozrywkom.

Całując żonę w oczy, w szyję, powtarzał:

najlepsze zamiary garstki ludzi uczciwych, jak tego dowodzą przykłady Towarzystwa oświaty ludowej, Macierzy polskiej, kółek rolniczych itp. Nauczyciele wiejscy, którzy pragną szczerze pracować dla ludu tracą posady, księża nawet, jeżeli nie słuchają niewolniczo przykazań szlachecko-jezuickiego katechizmu, podlegają prześladowaniom. Jeżeli jest katolikiem—to robią zeń socyalistę, jeżeli unitą—to głoszą o „moskiewskich rublach.“ Nawet taki fanatyk, jak ks. Stojałowski, jest wciąż podejrzywany, ponieważ broni czasem interesów chłopskich, a wydawane przezeń pisma znajdują się na indeksie prawomyślnej kliki. Atmosfera życia społecznego w Galicyi staje się coraz cięższą, zatruwają bowiem ją wyziewy rozkładającego się cielska; w zgniliznie tej plenią się tylko i tuczą pasożyty. Szlacheckie rządy współzawodniczą o lepsze w ucisku policyjnym ze wspomnieniami czasów Meternichowskich. Bezprawia te i służalcze kłamstwa najemnych pismaków mają za cel ukrycie moralnej i materyalnej nędzy społeczeństwa galicyjskiego. „Wszystko idzie jak najlepiej“ i rzeczywiście czegoż więcej potrzeba: są szkoły, są towarzystwa oświaty, kółka włościańskie; wpływ duchowieństwa na masy zapewniony, chłop powierza obronę praw swoich szlachetnie urodzonym sąsiadom, rząd sprzyja, swoboda rozwoju narodowego istnieje, poczucie obywatelskie wzrasta. Aż oto okazuje się nagle, jak powiada jedno z pism lwowskich, że „chłop polski zna tylko pod nazwą *polaka*—powstańca, który chce go mordować.“ Trudno o bardziej zgrzytliwy dysonans w „zgodnem brzmieniu dwu chórów.“

Miejscowość, która była widownią zaburzeń chłopskich, należy do najwięcej upośledzonych pod względem ekonomicznym w ubogiej Galicyi. Ona to dostarcza najliczniejszego zastępu wychodźców do Ameryki. Kiedyś dowcipny *Czas* tłomaczył ten objaw za pomocą umyślnie ku temu wynalezionej teoryi etnograficznej, według której mieszkańcy tych okolic—„głuchoniemcy“ nie są pochodzenia słowiańskiego. Żarcik ten posłużyć może wybornie i do wytłomaczenia teraźniejszych rozruchów, poważnym imiennikom Stańczyka wolno przecie pobłaznować niekiedy. Że tam chłop biedny do tego stopnia, iż nawet zazdrości swoim ubogim sąsiadom, że ciemny, bo przeszło połowa gmin nie posiada wcale szkół—to niczego nie dowodzi. Gdyby tarnowski głuchoniemiec był prawdziwym słowianinem, wiedziałby, że mu Pan Bóg przykazał surowo czcić i kochać panów ziemskich, bliższych w Krakowie i dalszych w Wiedniu.

Gorliwość chłopów tarnowskich do chwytania i tępienia wymarzonych powstańców nie wcieliła się w czyn, ale zgodzić się trzeba z głosami uczciwszych dzienników galicyjskich, że wszystkie klęski żywiołowe, jakie corocznie prawie nawiedzają ten kraj — niczem są w porównaniu z tą haniebną porażką moralną. Po czterdziestu latach spokoju i zapomnienia otworzyły się nagle stare rany, powstał z grobu krwawy upiór rzezi i pożogi. Ale tym razem dzielne syny szlacheckie nie ulękli się czerwonego widma. Na okopach Świętej Trójcy stanął anioł-stróż w mundurze c. k. żandarma, wysłany przez „przychylny“ rząd dla obrony polskości od zamachu chłopów... polskich. O Meternichu! jeżeli kości twoje nie spróchniały jeszcze w grobie, to skaczą tak wesoło w takt „sztajera,“ jak gdyby nie były resztkami poważnego dyplomaty, ale zwyczajnego wesołego wiedeńczyka! A przecież to dopiero „przygrywka,“ dopiero zapowiedź „uciechy.“ Cóż to będzie, kiedy chłopi galicyjscy wedle słów poety „piekielną muzykę sprowadzą do grania“ i zaproszą do tańca naturalnych przewodników narodu.

Bolesna ta przestroga dopełnić powinna miary cierpliwości żywiołów uczciwszych w społeczeństwie galicyjskim i otworzyć oczy zaślepionym. Polityka fałszu i samolubstwa, przywileju i wyzysku ugrzęzła tak głęboko w błocie, że już zeń wydobyć się nie może. Nie oszczędziła ona społeczeństwu, którego wyrazem być miała ani jednego upokorzenia, owszem doprowadziła go przez cały szereg stopni nikczemności i hańby do punktu, z którego krok dalszy grozi upadkiem w przepaść.

J. L. P.

PRZESILENIE.

Pod powyższym tytułem wydał hr. Roger Łubieński, poseł na sejm w Galicyi—książkę *), która ze względu na swój przedmiot obudziła pewne zajęcie w światlejszych warstwach naszego społeczeństwa—i która zasługuje na przedstawienie czytelnikom *Prawdy*.

Autor zastanawia się nad ekonomicznem a szczególniej rolniczem przesileniem. „Wszędzie, gdzie zwrócisz okiem—powiada on—pilniejsze nieraz na pozór polityczne i narodowościowe sprawy ustępują z placu przed nowym ludzkości wrogiem, który się nazywa: *przesilenie*. Wszystkie cywilizowane kraje Europy poważnie tę sprawę podejmują, tak w najwyższych swoich ciałach ustawodawczych, jak i w skromniejszych zjazdach rolników i rękodzielników. Rządy wszystkich krajów przedkładają (? *Red.*) ustawy i wydają rozporządzenia w celu stawienia skutecznego oporu temu nieprzyjacielowi. Pisma publiczne w każdym prawie numerze dodają nowy przyczynek do historyi tej międzynarodowej już dzisiaj dyskusyi, albo omawiają (? *Red.*) nowy szczegół, który ma objaśnić przez się bronione i z góry powzięte najróżnorodniejsze teorye. Nowe to, groźne bożyszcze wyparło ze świątyni wszystkie stare bogi, a wszyscy spieszą złożyć przed niem kornie swoje ofiary.“

Człowiek, wierzący w okrzyczaną zmorę przesilenia, „jest niewolnikiem rzeczy, której nie zna, jest opętanym, a dzieła i słowa jego są niejako wykluczone z pod panowania własnej wolnej woli.“ „Taka też jest ta myśl przesilenia —powiada w dalszym ciągu autor—i taki charakter najliczniejszego zastępu jej wyznawców.“

„To przesilenie sięga po za granice każdej rodziny, gminy i parafii, do stosunków krajów zaoceanowych; schodzi z wyżyn ogólnych pojęć i pewników ekonomii politycznej i rzekomo miesza spokój i zagraża dobrobytowi nawet każdego pojedynczego człowieka, a dla przyszłości otwiera widoki tak czarne, horoskopy (? *Red.*) tak wstrętne, nakreśla stan rzeczy tak przedewszystkiem niejasny dla większości, iż wcale dziwić się nie można tej ogólnej wrzawie.“

Lecz cóż to właściwie jest owo przesilenie?

Hr. Łubieński odpowiada: „O ile stosy druków o przesileniu, które przed nami

*) Rzeszów, 1885.

— Za trzy lat będziemy się bawili: bądź cierpliwą!

Przez półtora roku zamykała mu usta miękką białą rączką, mówiąc:

— Twoje pieszczoty zastępują mi wszystko!

Po upływie tego czasu dnie zaczęły jej się dziwnie dłużyć: wzruszała ramionami, słuchając obietnic męża.

Pieszczoty jego nudziły ją; krzyk dziecka drażnił.

Objawiła chęć przeniesienia się do innego mieszkania. W nowem mieszkaniu codzień kazała przestawiać meble z jednego pokoju do drugiego, przewieszać obrazy i przekładać graciki, służące do ozdoby.

Opanowała ją żądza zmiany, rosnąca z każdą godziną.

Czuła się uprawnioną, ze względu na wiek swój, majątek i urodę, do żądania rozrywek i przyjemności.

Nie wypadało jej bywać samej na zebraniach; mąż błagał, by poczekała półtora roku...

Z nudów wzięła kiedyś do ręki romans francuski, w którym autor przedstawił życie jednej z najpiękniejszych kobiet paryzkiego półświatka.

Zrazu czytała zaledwie po parę stron dziennie, ziewając i drzemiąc w fotelu. W miarę rozwoju powieść zajmowała ją coraz więcej, aż wreszcie zaczęła połykać szybko po sobie następujące, a coraz drastyczniejsze rozdziały.

Życie dopiero przez książkę ukazało jej się w całej nagości. Prawda, pochwycona nagle i niespodziewanie, odurzyła ją.

Przez kilka dni myślała tylko o tem, co przeczytała. Losy bohaterki, przechodzącej z rąk do rąk i uwielbianej za swą fizyczną piękność, utkwiły w jej głowie. Bezustannie porównywała ją z sobą.

Boso, w koszuli, zrzuconej z ramion, stawała przed lustrem, odbijającem całą jej postać i badała kształty swe oraz koloryt swego ciała.

Ubierała się, to znów rozbierała, zczesywała włosy z czoła lub zaczesywała je na twarz, upinała je raz nisko, raz wysoko, chcąc wiedzieć, co najwięcej podnosi jej urodę.

Ciche, jednostajne życie, upływające na staraniach około dziecka i na pieszczotach młodego, rozkochanego męża, zniecierpliwiło ją do największego stopnia.

Pierś jej zaczęło podnosić coraz gorętsze pragnienie hołdów.

Dziesiątkami tomów skupowała najświeższe francuskie romanse i czytaniem ich odurzała się, jak haszyszem.

Gdy mąż, wracając od pracy, usuwał jej ostrożnie książkę z ręki i prosił, aby z nim pogadała, odtrącała go, mówiąc: „daj mi pokój teraz!“ i pałającemi źrenicami ścigała wyrazy skandalicznych opisów; rozchylała wargi, całą swoją istotę wcielała w losy bohaterek, zmieniających kochanków, jak rękawiczki, a zawsze nienasyconych.

Po skończeniu zamykała oczy, bujała się w fotelu i myślą stawiała siebie wśród życia nieustających zmysłowych rozkoszy.

Czasami zabrakło jej tchu: tak pożądała przemiany losu.

Przy boku męża marzyła o kochanku. Gdy dziecko gładziło ją po twarzy aksamitnymi paluszkami, mrużyła powieki i oddawała się wrażeniom innych pieszczot.

Dom własny stał się dla niej duszny, ciasny, bez powietrza.

Wychodziła na ulicę, lecz i stamtąd wracała zniechęcona: spacer samotny nudził ją.

Nie czekając na swobodniejsze chwile męża, pojechała raz do teatru z matką i braćmi. Po trzecim akcie jednak wyszła. Opera zmęczyła ją. Faust, uwodzący tak nieśmiało i powoli, oburzył ją swoją ckliwością i marudztwem; niewinność Małgorzaty wydała jej się głupowatą. Wolała czytać dzieje pierwszej lepszej francuskiej gryzetki.

Staś skończył dwa lata i szczebiotał już jak ptaszek. Niańka musiała go przynosić codzień na pieszczotę do matki, gdyż inaczej płakał i grymasił do wieczora.

Któregoś ranka przybiegł sam boso w koszulce do łóżka Leonii i zbudził ją wcześniej, niż zwykle. Tej nocy właśnie zasnęła późno, a, zasnąwszy, śniła o wiel-

leżą, dają wyobrażenie, to pod tym wyrazem mamy rozumieć, że we wszystkich gałęziach pracy ludzkiej, a szczególnie w rolnictwie u nas w Europie a najbardziej w Galicyi *), stracony został węzeł pomiędzy produkcyą a odbytem, pomiędzy kosztami wytworu, a tych kosztów wynagrodzeniem, że praca ludzka przestała się opłacać a dochody nie stoją w żadnym stosunku do kosztów łożonych dla ich uzyskania. Dalej znajdujemy twierdzenia, że produkcya jednego kraju, zabija produkcyą drugiego, a świat jest niejako za mały ażeby pomieścić pożyteczne działanie każdego człowieka. Nareszcie, że już uwidacznia się coraz bardziej upadek i ruina ogółu Europy, i że ta dekompozycya (? *Red.*) nietylko socyalna, ale szczególnie ekonomiczna szybkim postępuje krokiem. Świat zatem musi zbankrutować, ludzie chodzić będą w łachmanach i umierać z głodu, a wszelka praca, dla strachu przed tą okropną hyperprodukcyą (? *Red.*) albo zupełnie zostanie wstrzymaną, albo do *minimum* zredukowaną.

Takie zdaje się nam być jądro sprawy przesilenia, i w słowach niewielu, sama treść tej nowej teoryi."

Hr. Łubieński usiłuje tedy na podstawie nagromadzonych w tym przedmiocie materyałów i na podstawie własnych spostrzeżeń dowieść, że żadne przesilenie wogóle nie istnieje. Na przekór wszelkim w tym przedmiocie podnoszonym głosom, stawia autor nagie „nieubłagane" fakty, poparte cyframi i wykazami statystycznymi, ażeby — jak powiada — „zamiast rozprawiać się z każdym poszczególnym ruchem tej niezdrowej siatki nerwowej, jaką przedstawia rozgałęziona dyskusya o przesileniu — sięgnąć do samego jej korzenia i tam postawić jej dyagnozę.

Z tego powodu dzieli swoją pracę na dwie główne części. W pierwszej bada: czy istnieje przesilenie, zagrażające postępowi dobrobytu ludzkości wogóle, z uwzględnieniem przedewszystkiem stosunków monarchii austryackiej, a szczególnie Galicyi i to pod względem rolnictwa? W drugiej zaś stara się wykazać, jaka ekonomiczna przyczyna wywołała tę teoryę o przesileniu.

*) Tę część kraju naszego, najbardziej uwzględnia w swej pracy autor.

Pierwsza część książki p. Ł. zajmuje się głównie ruchem pieniężnym z ostatniego lat dziesiątka i produkcyą pracy. „Jeżeli bowiem — mówi autor — przesilenie i upadek mają pewne podstawy, na tym najczulszym barometrze drganie to złowrogie atmosfery społecznej, na pierwszem miejscu da się zaraz widzieć. Jeżeli praca ludzka przestała z korzyścią namacalną być połączona, muszą się zmniejszać zapasy lat ubiegłych, albo nieprawidłowymi kanałami płynąć już nie na zbogacenie ogółu, ale na cele uboczne, zagadkowe, albo na zbogacenie kilku tylko wybranych, ze szkodą większej liczby pracowników. Ażeby sprawdzić rzecz (? *Red.*) powyższą, wypadałoby zszeregować wykazy wszystkich instytucyj pieniężnych, jakie tylko są na świecie, praca zbyt mozolna, zbyt obszerna i uciążliwa a zresztą zupełnie zbyteczna. Jest bowiem na świecie jedna instytucya pieniężna, która swoją przeszłością, powagą i potęgą króluje nad wszystkiemi. W jej salach odbija się wiernie jak w zwierciadle cały zastęp obrotów pieniężnych, jakie tylko odbywają się na świecie, chociaż może nie wszystkie instytucye bezpośrednio na nią się oglądają, lub z nią mają wprost stosunki, to jednak ona niemi wszystkiemi rządzi, podług jej zapasów stosuje się stopa procentowa całego świata, a wszystkie świata zamiany wartości i pieniędzy — tu ostatecznie mają swe oparcie. Instytucya ta nazywa się Bankiem angielskim (Bank of England). Że nie przeceniamy znaczenia tego banku, wskażemy tylko na jeden wśród wielu a jednak imponujący szczegół. Na giełdzie angielskiej notowanych jest dziennie rozmaitych akcyj, obligacyj, priorytetów różnych samych kolej żelaznych aż 550. Na wielkie znaczenie Anglii w świecie finansowym i handlowym wskazuje także sprawozdanie z ogólnej sumy wywozów znaczniejszych krajów Europy. Ciekawą zatem wielce musi być rzeczą, czy ta pierwszorzędna instytucya finansowa, ten Bank angielski — objawia jakie osłabienie, lub jaką ospałość, któraby miała znamionować przesilenie lub upadek w świecie pieniężnym."

Otóż, jak wyżej zaznaczyłem, autor opierając się na danych statystycznych, dowodzi, w szczególności co do Banku angielskiego — że ruch jego coraz bardziej się wzmaga i dochody rosną. To samo wykazuje co do innych państw europejskich, jak również i co do Galicyi.

Po pieniądzach i obok nich na pierwszem miejscu stawia p. Ł. rolnictwo, do którego też zalicza gospodarkę domową, jak: chów bydła, nierogacizny, owiec itd. I tutaj znowu za pomocą faktów i liczb bada, czy rzeczywiście rolnictwo, jako zawód i zajęcie człowieka, jest zagrożone upadkiem, czy istotnie coraz (? *Red.*) mniej ludzkość dla wyżywienia siebie produkuje i produkować potrzebuje; czy wreszcie ceny płodów w porównaniu do dawniejszych czasów spadły tak, że nieopłacają pracy podjętej około roli... Z dowodów przytoczonych przez autora i w tym kierunku otrzymujemy zadawalniające rezultaty.

Mówiąc o głównych państwach Europy, poświęca autor dłuższy ustęp Galicyi, którą ma głównie na uwadze. Miarą bogactwa ogólnego krajowego — powiada — jest wysokość ceny ziemi, miarą intratności gospodarstwa jest wysokość ceny dzierżawy. Otóż sprawozdania statystyczne krajowe piszą: „Ceny ziemi od r. 1866 podniosły się stale i znacznie aż do r. 1873. Jako powody tego wzrostu podają sprawozdania, najpierw postęp widoczny w gospodarstwie rolnem, dalej budowę kolej żelaznych, nareszcie konkurencyę izraelitów do kupna majątków ziemskich. Najwyższe ceny przypadają na czas między rokiem 1870 a 1873. Krach wiedeński a następnie kilka lat nieurodzaju spowodowało nietylko spadek w cenach, ale zupełną stagnacyę (zastój *Red.*) w tego rodzaju transakcyach." Obie powyższe przyczyny są zupełnie przypadkowe, które mogą pociągnąć za sobą tylko chwilowe skutki, nie są to żadne ekonomiczne prawa. Pomimo tak licznych skarg na wielką ilość majątków na (? *Red.*) sprzedaż w Galicyi, nie słyszymy o sprzedażach za tanie pieniądze.

Pomimo zmniejszonej liczby sprzedaży przymusowych, zwiększyła się liczba zmian w posiadaniu z wolnej ręki, a mianowicie było ich z wykazem wartości ogólnej:

W roku	1880	6,229	17,330,000 złr.
„	1881	8,403	18,107,000 „
„	1882	10,391	18,661,000 „

Cena ziemi w Galicyi nie jest dosyć jednostajną i dosyć wysoką, a to dla bardzo różnych stosunków ekonomicznych rozmai-

kiej operze w Paryżu, o balach, wyścigach i zabawach kwiatowych wśród licznego męzkiego otoczenia.

Rozgniewana głośnym śmiechem dziecka, które jej nie dało zdrzemnąć się powtórnie, wyrzuciła je od siebie i kazała mu nie przychodzić już więcej. Tego samego dnia wyprawiła mężowi scenę o to, iż więzi ją w domu, jak niewolnicę.

Nie zważając na opinię świata, zaczęła bywać sama. Na pierwszym balu upajała się tańcem; na drugim — taniec ją znudził, połowę nocy przesiedziała pod liśćmi największej palmy w oranżeryi, zasłaniając się przed oczami przechodzących, prowadząc z za wachlarza szeptem urywaną rozmowę z młodym, przystojnym blondynem. Na trzecim — naznaczyła schadzkę. Po kilku następnych zmieniła ufryzowanego blondyna na bruneta ze szwedzkim jeżem i hiszpańską bródką.

W jesieni spotkała w towarzystwie dawno niewidzianego rzeźbiarza. Artysta jeszcze przed początkiem karnawału złożył wizytę jej mężowi i stał się codziennym gościem w ich domu.

Któregoś zimowego wieczora niańka, rozbierając małego Stasia, szepnęła mu do ucha, że już niema matki. Nie mogła go uśpić potem najulubieńszemi piosenkami: płakał przez parę godzin, wołając: „gdzie mama, gdzie mama?" W nocy jeszcze łkanie podrywało małe, różowe ciałko. Nazajutrz wstał ze spuchniętemi powiekami i, chodząc po pokojach, zaglądając pod stoły, za krzesła i kanapy, powtarzał: „gdzie mama?"

Tego samego dnia przed południem Władysław wrócił z podróży, którą musiał odbyć w celach prowadzonego interesu. Wszedłszy do swego pokoju, zastał na biurku bilecik z podpisem żony i ze słowami: „Nie wrócę więcej; sprzykrzyłeś mi się; zostawiam ci wszelką swobodę, zabraniając tylko śledzenia mego losu i poszukiwania mych śladów; do widzenia — w krainie duchów!"

Gdy przeczytał pierwsze słowa, uczuł przebiegający go od czaszki wzdłuż całego grzbietu gorący prąd, jak gdyby kto w krew jego wsączył masę rozpalonego żelaza. Zachwiał się i padł na poręcz stojącego przed biurkiem fotelu.

Kiedy chciał wstać następnie, aby przejść do pokoju Leonii i zobaczyć, czy zeń nie żartuje, już prawą nogę ledwie był wstanie powłóczyć za sobą; ręki nie mógł podnieść do czoła, zwisała, jak martwy kawał ołowiu: palce drżały ustawicznym ruchem, odbijającym się w mózgu.

Zawołał służącego i kazał się poprowadzić do sypialni.

Zastał tam powyciągane szuflady i otwarte drzwi szafy: zewsząd wiała pustka i ogołocenie.

Chaos pojęć roztrącał jego czaszkę. Chciał czegoś: pokazywał na klucz, umieszczony w szufladzie biurka.

Twarz jego przybrała idyotyczny wyraz zdumienia. Oczy błądziły niedołężnie po pustych szafach. Stał się podobny do strupieszałej larwy. W otwartych ustach kołatały się słowa, których nikt nie rozumiał, bełkotane ciężkim, jednostajnym, zająkliwym głosem.

Wskazał niedołężnie drżącym palcem na ścianę, na której wisiał portret żony naturalnej wielkości: kiwał głową, poruszał rękami, jak gdyby chciał go zerwać...

Usiłował przejść przez pokój, lecz drżenie przeszło do kolan: padł za pierwszym krokiem.

Podnieśli go z ziemi do łóżka.

Noc nadchodziła. Nie mógł zasnąć. W piersiach nurtował głuchy niepokój, uparty, jak trzęsawica ciała.

Portretu nie zdjęto. Mienił się, jak gdyby miał na powierzchni cały szereg różnokolorowych prążków...

Matowa twarz patrzyła rozwartemi szeroko oczami...

Po paru miesiącach doktorzy pozwolili przenieść chorego do wózka.

Nie opuścił go już przez dwadzieścia lat życia, wlokącego się, jak sen człowieka, którego gardło ściska niewymówione przekleństwo...

C. Walewska.

tych części kraju i dla ogólnie słabo rozwiniętego jeszcze ruchu handlowego i przemysłowego. Ale za to ceny dzierżaw są bardzo znaczne i ciągle idą w górę.

Czytamy dalej w tych sprawozdaniach: „W ciągu ostatnich lat kilku ceny dzierżaw całych folwarków i większych kompleksów (? *Red.*) poszły w górę... Jako powód tej zwyżki, podają sprawozdania po części pewien postęp w gospodarstwie i zwiększoną wskutek tego produkcyę przy wyższej obecnie a niedawnej cenie produktów.“ Mowa tu naturalnie tylko o większych obszarach—folwarkach dworskich. Ceny tak ziemi jak i dzierżaw pojedynczych parceli (działek *Red.*) przez włościan są zupełnie inne. W wielu bardzo okolicach kraju za pojedynczy morg płacą włościanie 600 złr. i wyżej, i to nie w pobliżu większego miasta ani też za łąki lub ogrody. Cena dzierżaw dochodzi do 50 złr. za morg, a rzadko schodzi niżej 20 złr.

Ze sprawozdań statystycznych r. 1880 i z każdorocznych sprawozdań przez wydział krajowy składanych Sejmowi z czynności biura melioracyjnego najlepiej przekonać się można, jak bardzo w latach ostatnich krzątano się około podniesienia wydajności roli, tak nawodnianiem, jak odwodnianiem, jak obok spółek wodnych i częściowych regulacyj rzek, rolnicy pilnie się zajmowali, bacząc ciągle na najdokładniejszą uprawę roli i zastosowanie do niej nowszych zdobytych przez wiedzę przepisów. Przytem z *Roczników* Towarzystw gospodarczych widzimy ciągły wzrost stajen bydła zarodowych i stacyj buhajów; a że pod tym względem bogactwo kraju się podnosi, a rolnictwo bynajmniej nie upada, najwymowniej świadczą doroczne wystawy w Rzeszowie i ostatnie premiowanie bydła włościańskiego i koni w Jarosławiu.“

Zbadawszy tedy stosunki pieniężne, gdzie najłatwiej odkryć słabą stronę ruchu handlowego, albo zapowiadającą się burzę lub ruinę materyalną, przeszedł autor konsekwentnie do rolniczych i wszędzie wykazał prawidłowe, podległe zwykłym zmianom niezależnym od praw ekonomicznych. Użył, a może i nadużył, aż do znudzenia liczb, które jedynie służyły mu za dowody, unikając starannie płonnych i długich rozpraw. Opierając się tedy na tych danych, twierdzi w dalszym ciągu swojej pracy, „że żadnego przesilenia w stosunkach postępu, bogactwa ludzkości, w handlu, przemyśle i rolnictwie faktycznie nie ma.“

Powtarzające się jednak skargi na przesilenie, muszą koniecznie mieć swoje źródło i jakąś przyczynę. Nie można przypuścić, żeby objaw tak powszechny, tak silnie występujący, tak przygniatający swobodę myśli i energią działania społeczeństwa, pozbawiony był przyczyny—czy więc ona istnieje i czy jest słuszną lub tylko zmyśloną? Na to pytanie daje hr. Łubieński, następującą odpowiedz:

„Słuchając tych wszystkich, którzy jako rzecznicy przesilenia, opisują przyczyny tego objawu, nie każdemu zarówno można dać wiarę. Niektórzy badają przyczyny zanadto chwilowe—jak np. wysokość taryf kolejowych, zmiany atmosferyczne, nieudolność rządu itp. Inni podają przyczyny obojętne i z rzeczą niemające związku—jak np. brak fachowych wiadomości i szkół specyalnych, lenistwo pojedynczych szczepów ludzkości. Inni nareszcie pragną wytłomaczyć wszystkie objawy, jedną ogólną przyczyną—i zwalają np. wszystko na wysokość podatków w krajach europejskich, albo sięgają zanadto daleko po wytłomaczenie faktów z zapoznaniem indywidualnej natury i produkcyi każdego kraju, warunków bytu każdego społeczeństwa. Ktoby chciał wszystkie objawy niepokoju ludzkości dla przesilenia przypisać jednej tylko i wyłącznej przyczynie, musiałby utworzyć tak ogólne rzeczy określenie, tak niezmierne ramy swym pojęciom zakreślić, iżby musiały obejmować wszystkie czasy, klimaty, narody i najróżnorodniejsze stosunki ludzi. Postawiłby tedy, albo powtórzył jednę z wielkich prawd metafizyki, która w oderwaniu musi być słuszną, w praktyce nie może nie znać wyjątków. Kto przeciwnie, każdy objaw, w każdym kraju, w każdej familii, i nawet każdego pojedynczego człowieka innym przyczynom by przypisywał, takby rozdrobnił swoje zapatrywanie, że ani by nie mógł żadnej naukowej ogólnej syntezy się trzymać, ani wszystkiego pojedynczo wytłomaczyć nie zdołał.“

Unikając obu niebezpieczeństw, bierze autor szczególnie za przedmiot badania—rolnictwo, ażeby—jak powiada—„nie stracić podstawy naukowej“ gdyż dwa zarówno główne pierwiastki: praca i kapitał, nie mają żadnej koniecznej granicy, któraby mogła wpłynąć na wzrost produkcyi. Stąd wynika, że ograniczenie to wypływa z własności jednego czynnika.

„Rozległość ziemi — mówi p. Ł. — i ilość produktów, które możemy otrzymać z danej przestrzeni gruntu, są ograniczone, i dlatego ograniczona ilość i produkcyjność ziemi stanowią istotne granice wzrastania produkcyi. Ludzkość jednak nigdy do tych granic jeszcze nie dotarła, nigdzie nie wyczerpano ziemi uprawnej do tego stopnia, ażeby niepodobna już było wyciągnąć z niej większego zysku. Znaczna część ziemi leży jeszcze odłogiem. Ustaliła się dla tego opinia, że na długi czas jeszcze żadne z tej strony produkcyi niebezpieczeństwo nie grozi, i że wieki upłynąć muszą, zanim okaże się praktyczna potrzeba zwrócenia pilnej uwagi na ograniczającą własność ziemi. Kardynalny ten błąd, który sprzeciwia się tak jasnej i koniecznej prawdzie nauki ekonomii—jest może jedyną matką obaw o przesilenie i przesilenia samegoż rolnictwa w Europie.“

Sprawę przypuszczeń co do produkcyi rozbiera autor dość szeroko.

Od dawna — według niego — spotykamy się ze zdaniem, że nadmiar produkcyi lub zaofiarowania może dać się poczuć zarazem we wszystkich towarach, że wytwarzanie bogactw może być zbyteczne i że podaż wogóle może być większą, niż popyt, a stąd mogą wyniknąć istotne klęski, które dotkną zarazem wszystkich producentów czyli pracowników. Obrońcy tej zasady twierdzą, że gdy nadmiar taki okaże się, wtedy widzimy brak nabywających, którzyby dali za towary cenę odpowiednią kosztom produkowania, wraz z pewnym zyskiem dla producentów. Stąd wyniknąć ma powszechny upadek cen lub wartości, i że czem więcej fabrykant wytwarza towaru, tem uboższym się staje. Jedni więc radzą kapitalistom powściągnąć działalność, drudzy narzekają na wynalazki i machiny, powiększające siły produkcyjne człowieka, inni nareszcie wmawiają w ludzi bogatych, ażeby unikali nagromadzania bogactw, za pomocą powiększania konsumcyi nieprodukcyjnej, czyli rozszerzeniem zbytku.

Błąd główny, zapoznany — powiada autor—a jednak tak widoczny powyższej zasady w tem leży, iż zapomina, że każdy produkt może tylko za równorzędny i równowartościowy produkt być zamieniony. Towar opłaca się towarami, a każdy sprzedający musi być również kupującym.

Jeżeli towar przez kogoś wytwarzany spada w cenie, spadać muszą także siły jego nabywcze względem innych produktów, a tem samem i te inne produkty same muszą tracić na cenie. Produkcya towarów nie może być zatem większą niż ich potęga nabywcza. a ilość wytwarzanych, nigdy nie może być większą, niż chęć ich spożywania. Jeżeli nawet ktoś wyrabia więcej, aniżeli sam spożywa, oszczędza, i te jego oszczędności w formie kapitału (?) pomagają innym do pracy i do wytwarzania. Jedne produkty dostarczają odbytu drugim.

Ścisła nauka zatem nie zna nadmiaru produkcyi i dowodami stwierdza niemożliwość jej istnienia.

Na tem kończymy sprawozdanie z nader ciekawej książki p. Łubieńskiego, w której obok sumienności obrobienia przedmiotu, dopatrzyliśmy wielu innych zalet znamionujących trzeźwo na rzecz patrzącego i miłującego swój kraj obywatela *).

J. H. Rychter.

PO OBU BRZEGACH DUNAJU.

VII.

Rząd serbski daje swemu gościowi do rozporządzenia bryczkę pocztową i młodego francuza, urzędnika w ministerstwie spraw zagranicznych za towarzysza i przewodnika w dalszej podróży.

Laveleye rusza na Semendryę do Bułgaryi.

Wyjeżdżając z bram Belgradu, dziwi się, że grunta dokoła tak źle uprawne, zapuszczone. Serbowie nie znają się na uprawie ogrodowizn; jarzyny, spożywane w Belgradzie, produkowane są przez bułgarów i kosztują stosunkowo dużo. Droga, idąca nieopodal Dunaju, obfituje w piękne widoki; wzgórza pokryte winnicami, dębami i leszczyną, tu i owdzie widać domostwa, otoczone sadami. Suszone śliwki, służące do wyrobu śliwowicy, wywożą się z Serbii w ilości 12,000 ton rocznie, po 50 centymów kilogram. Zwykła sprzedaje się po 20 c. litr.

Podróżni zmieniają konie w Groczce, niedaleko od miejscowości, gdzie austryacy w r. 1739 ponieśli dotkliwą klęskę, która zakończyła trzyletnią wojnę z turkami. Siły otomańskiego cesarstwa były wówczas jeszcze niespożyte. Dziś zabija je, mówi Laveleye, próba przyswojenia sobie cywilizacyi zachodniej...

Koło południa wędrowiec nasz jest już w Semendryi. Jest to forteca; wysokie średniowieczne wieże wznoszą się dumnie nad brzegiem Dunaju. Twierdza zbudowaną została przez Jerzego Brankowicza w r. 1432; piękny kościół św. Jerzego wznieśli murarze z plemienia cyncarów, zajmującego się budownictwem na całem półwyspie bałkańskim.

Droga ta porzuca Dunaj, zwracając się ku obszernej dolinie Morawy. Ziemia żyzna, gospodarstwo trójpolowe; osady włościańskie liczą 5—10 hektarów gruntu i korzystają ze służebności w lasach skarbowych i gminnych. Drobiu wszędzie pod dostatkiem. Konie serbskie mają wygląd nieszczególny i sprzedają się wewnątrz kraju po 100 fr. średnio. Na gościńcu spotykają podróżni pierwotne wozy, ciągnione przez woły, wiozące sól lub zboże; handel zamienny jest zresztą nieznaczny, każda bowiem rodzina sama sobie wystarcza. Nocą przejeżdżają wędrowcy przez Jagodynę i Czupryję, mające wygląd austrya-

---

*) My nadto, obok zaznaczonych okropności językowych, dostrzegliśmy wyraźną chęć do sofistyki ekonomicznej, która powiększa chaos naukowy, ale faktu „przesilenia“ nie tłomaczy nawet przyczynami leżącemi na wierzchu. Gdyby autor tylko zliczył np. koszta militaryzmu europejskiego i jego wpływ na stosunki gospodarcze, wydobyłby z tego rachunku jasny promień, oświetlający „ciężkie czasy.“ Wytwarza je nie ziemia, nie praca, słowem, nie czynniki ekonomiczne, ale ich ustrój i zużytkowanie. *Red.*

cki; nad ranem stają w Aleksinacu. Jest to piękne miasteczko o szerokich ulicach wysadzonych drzewami; pełno gustownie urządzonych sklepów i kawiarni, w których króluje Gambrinus. Za miastem na wzgórzu pomnik, postawiony tu na pamiątkę poległych ochotników rosyjskich w ostatniej wojnie z turkami; zostały jeszcze ślady serbskich bateryj. Ku północo-zachodowi widać łączące się z sobą dwie Morawy, serbską i bułgarską. Żyzna nader równina, zasiana kukurydzą i pszenicą, oddziela Aleksinac od Niszu. Ten ostatni ma wygląd węgierskiego miasteczka. Po przyłączeniu Niszu do Serbii, wskutek ostatniej kampanii, tureccy mieszkańcy opuścili miasto; drewniane ich domy zrównano z ziemią i wytknięto szerokie ulice. Nic już dziś nie przypomina tureckiego panowania; podróżny stwierdza nie bez zdziwienia, jak szybko kraj ten, niedawno turecki, przybrał zupełnie europejską fizyognomię.

Streszczając swe wrażenia z pobytu w Serbii—powiada Laveleye, że naród serbski jest dziś jednym z najszczęśliwszych ludów Europy i ma wszelkie powody spodziewać się świetnej przyszłości. Szerokie swobody gminne, które przetrwały wieki i panowanie tureckie, łączą się tu z najnowszemi zdobyczami cywilizacyi europejskiej. Produkcya nie jest jeszcze rozwiniętą, ludność jednak żyje w dobrobycie i nie zna ostrych antagonizmów klasowych. Kraj sam się rządzi. Demokracya, która w Europie wytwarza się z trudem, tu jest formą naturalną i tradycyjną. Autor obawia się tylko, żeby Serbia nie chciała zbyt skwapliwie naśladować Europy nietylko w dobrem, lecz i w złem. A w tym kierunku dają się dostrzegać niepokojące oznaki. Centralizacya przyspiesza może nieco i daje jednostajny więcej kierunek postępowemu ruchowi, osłabia jednak osobistą samorzutność i wrodzoną energię narodu, zmuszając go do naginania się ku formom obcym i niemiłym. Laveleye przytacza jako przykład podobnej centralizacyi Piotra Wielkiego. Stosunki na naszym Zachodzie—powiada dalej—nie są bynajmniej tak godne zazdrości, ażeby je zaprowadzać przemocą na półwyspie bałkańskim.

Droga z Pirotu do Sofii, którą przedsiębierze następnie podróżny, jest długą i trudną do przebycia. Bryczka jest, czy się jednak znajdą wszędzie konie na zmianę? Sprawa to nie bagatelna, niedawno bowiem jeden z europejczyków zmarł tu ze znużenia. Ku granicy bułgarskiej idzie szosa, wybudowana jeszcze przez Midata. Graniczna stacya celna, Sukowski Most, to już wrota Bułgaryi. Widać tu dokładnie, powiada Laveleye, że nie historya, ani geografia nakreśliła linię graniczną, lecz traktat dyplomatyczny. Ponieważ wędrowcy nasi podróżują w serbskim pojeździe rządowym, celni więc strażnicy bułgarscy nie robią rewizyi, żandarmi zaś pograniczni salutują z uszanowaniem. Autor obecnym jest jednak przy licznych formalnościach, jakim ulega kupiec, żyd, wiozący towary z Semendryi do Sofii. Koszta transportu muszą być znaczne, nie mówiąc już o trudach i niebezpieczeństwie. Serbia ma dziś umiarkowane taryfy celne, od 3—5 proc. wartości; taryfa bułgarska jest wyższą i ma kierunek protekcyjny. Serbia wywozi do Bułgaryi przeważnie nabiał, który idzie aż do Konstantynopola, następnie zaś konopie i powrozy. Roczna jednak zamiana między obu krajami, obejmująca przywóz i wywóz, nie przenosi $4\frac{1}{2}$ milionów fr. Autor znajduje tę cyfrę nader niską; proponuje przytem obu państwom unię celną... Budująca się linia kolejowa Belgrad — Sofia — Konstantynopol wpłynie znacznie na ożywienie ruchu handlowego w tych stronach.

Do samego Caribrodu prowadzi jeszcze równina, widać już jednak na widnokręgu odnogi Bałkanów. Do samej Sofii ma towarzyszyć podróżnym „pisar,“ odkomenderowany przez uprzejmego prefekta z Niszu, dla usunięcia wszelkich przeszkód w drodze.

W Caribrodzie, pisze Laveleye, zdaje mi się, że jestem nagle przeniesiony w głąb Rosyi. Pomocnik naczelnika, który przyszedł nas pozdrowić, ma na sobie biały mundur, jak Skobelow, do którego czyni go podobnym jeszcze broda rozrzucona na dwie połowy. Nosi on białą czapkę z zielonym lampasem, wysokie buty i szablę, zawieszoną na sposób kozacki. Małe miasteczko składa się z jednej tylko ulicy, po obu stronach której wznoszą się mizerne domy drewniane, nieopodal jednak buduje się już nowy murowany dla pomieszczenia szkoły. Podróżny zaprasza p. naczelnika na obiad do restauracyi dość ubogo wyglądającej. Na ścianie widać portret „knezia“ Aleksandra, u spodu dwie allegoryczne niewiasty, Macedonia i Tracya, błagają go o pomoc. Obok portretu księcia—podobizny bohaterów ostatniej wojny, cesarza Aleksandra, księcia Nikity, Skobelewa, Kirejewa. Ten ostatni zginął na czele milicyi serbskiej w rozpaczliwej bitwie z turkami. Śmierć jego wywarła w Rosyi wielkie wrażenie; dzienniki w słowach gorących opisały jego czyny, po cerkwiach odprawiano zań nabożeństwo żałobne.

Z Caribrodu udaje się Laveleye wprost do Sofii. Droga idzie przez rozsławiony dziś wąwóz Dragoman. Z powodu niedawnej ulewy jest ona prawie niemożliwą do przebycia, a przecież tędy idzie główny traktat z Belgradu na Sofię do Konstantynopola. Przejazd przez wąwóz trwa pięć godzin. Na całej tej drodze stoi tylko jedna mizerna karczma, przed którą podróżni zatrzymują się chwilowo na odpoczynek. „Zbliżamy się nakoniec, pisze autor, do wyjścia z wąwozu. Droga porzuca rwący potok górski, który nam dotąd towarzyszył, i pnie się pod górę w stromych i nieforemnych skrętach. Roślinność staje się nader ubogą. Skały nagie koloru krwi, nie imponują bynajmniej. Żadnego wyniosłejszego wzgórza nie widać na widnokręgu; krajobraz jest pusty i ponury. Zbliżywszy się do szczytu, oczekuję równiny; daremnie jednak: przed wzrokiem naszym rozpościera się płaskowzgórze bez końca. Są to grunta uprawne, leżące przeważnie odłogiem; w niektórych miejscach widać zagony kukurydzy. Wzdłuż drogi nie spotykam żadnego budynku; zdala tylko, w zagłębieniu skał, dostrzegam kilka słomianych strzech, będących przytuliskiem tubylców. Wśród tego niepowętnego i smutnego pustkowia jedna rzecz nagle przyciąga widza: jest to pyszna fontanna z białego marmuru, pokryta rytymi wierszami Koranu. Dwoje dziewcząt, nie wiem skąd przybyłych, czerpie z niej wodę naczyniami z grubej gliny, o formach jednak powabnych. Zbliżam się, ażeby ugasić pragnienie; dziewczyny uciekają jak spłoszone sarny. Oto, pisze autor, wybitny kontrast religijnego ideału islamizmu i polityczno-administracyjnej rzeczywistości. Koran, równie jak ewangielia, zaleca swym wyznawcom dobre uczynki. Jakiś nabożny muzułmanin przejeżdżał zapewne tędy, umierając z pragnienia, i przyrzekł sobie wybudować tu z czasem fontannę, (przeznaczając jednocześnie fundusz na jej utrzymanie), ażeby napoić spragnionych. W ten sposób powstały w krajach muzułmańskich liczne fontanny, w których zarówno człowiek jak zwierz gasi pragnienie i orzeźwia się po trudach podróży. Około takich fontann tworzą się z czasem osady, grupującą się atoli około nich ludność rozprasza znowu ucisk i zdzierstwo administracyi.

Po za wąwozem, pisze autor, roztacza się przed nami równina, zdająca się mieć siedem do ośmiu mil długości i dwie do trzech szerokości. Jest ona płaska, naga, pokryta zeschłą roślinnością. Na całej tej przestrzeni nie widać drzewa, ni ludzkiej siedziby. Jeden tylko punkt bieleje pośrodku, to Sofia. Gdyby wielka ta płaszczyzna, mówi Laveleye, nie była otoczona pierścieniem wzgórz, zdawałoby mi się, że jestem w afrykańskiej pustyni. Rzadko spotkać tak doskonałe płaskowzgórze, w ściśle geograficznem pojęciu tego wyrazu. Od Carybrodu potrzebowaliśmy pięciu godzin, ażeby dostać się do szczytowej szyi wąwozu i oto przed nami równina, o tym samym prawie poziomie. Zdaje się być ona dnem jakiegoś dawnego jeziora. Gdyby Iskier nie był sobie przebił przejścia przez góry, cała równina dotąd byłaby jeszcze pod wodą.

O szóstej godzinie pod wieczór podróżni przybywają do Śliwnicy, gdzie tymi dniami toczyły się mordercze bitwy między bułgarami i serbami. W zajeździe, utrzymywanym jak zwykle przez cyncara, niema się czem posilić. Co za różnica, wykrzykuje autor, w porównaniu z serbskiemi oberżami! Wnętrze karczmy brudne i odstręczające. Widać tylko z gruba ciosane stoły i ławy oraz półki z flaszkami śliwowicy i „raki.“ Podróżny, jeżeli chce przenocować, ma tylko twardą ławę do rozporządzenia. Laveleye zapewnia, że tylko w górach hiszpańskiej Galicyi znalazł równie opustoszałe zajazdy, jak w Śliwnicy. Nie wielu też podróżnych tędy podąża. Wędrowcy nasi nikogo literalnie nie spotkali na całej drodze z Caribrodu do Śliwnicy.

ODCZYTY.

O kobiecie wschodniej w życiu i w literaturze.

J. A. Święcicki.

W ubogiej naszej literaturze p. Święcicki uchodzi za specyalistę od „rzeczy wschodnich,“ chociaż wiadomości swoje czerpie z drugiej ręki. Pracowity i oczytany, opowiada bardzo przyjemnie rozmaite ciekawe szczegóły, ale ani „wyników najnowszych badań,“ jak mu to naiwnie przypisują usłużni recenzenci, nie podaje, ani też nie stoi wcale na stanowisku ściśle naukowem. Jest zwolennikiem emancypacyi kobiet, zwolennikiem gorącym i wymownym, chociaż i pod tym względem nie poszedł dalej od Legouvego itp. Frazesy o „niewoli“ kobiety wschodniej, zwłaszcza chińskiej lub japońskiej, są tylko brzęczącą miedzią, z której prawdziwa wiedza oddawna już nie bije swej monety. Etnologia wyrzekła się prawa kwalifikowania czynów ludzkich a wydawanie świadectw dobrego prowadzenia się nie jest bynajmniej jej udziałem. Odmienne ukształtowanie stosunków społecznych u rozmaitych narodów pozwala jedynie na wyprowadzanie pewnych porównań. Kobieta japońska nie jest bynajmniej więcej uciemiężoną, niż europejska, jest ona równie swobodną, tylko swobodną inaczej, ponieważ życie jej płynie w innych warunkach. P. Święcicki nie poznał dokładnie nietylko najnowszych, ale i dawniejszych badań socyologów, nawet w zakresie wybranego przezeń przedmiotu, dlatego zmiany w układzie stosunków społecznych objaśnia zwykle przyczynami zewnętrznemi. Według niego kobieta indyjska zajmowała w przeszłości wysokie stanowisko, ponieważ tradycye religijne otaczały ją czcią. Z piedestału tego sprowadzili ją bramini. W Arabii znowu jednocześnie, jak powiada, istniały poliandria i poligamia, jak gdyby te formy, które wzajemnie wykluczają się, były wytworem upodobania, nie zaś koniecznym wynikiem stosunków społecznych w obu razach zupełnie odmiennych.

W dwu odczytach p. Święcicki mówił z kolei o kobiecie chińskiej, japońskiej, indyjskiej, arabskiej i perskiej. Trudno odgadnąć, dla czego nie mówił wcale o turczynkach, które przecież także należą do kobiet wschodnich. Wykład przeplatały często cytaty, umiejętnie dobrane i charakterystyczne, rozumie się, ze stanowiska prelegenta. Bo np. z ksiąg Manu, z których wybrał cały zasób poetycznych komplimentów dla niewiast, możnaby również przytoczyć szereg zdań wręcz przeciwnych. Oprócz tego nie szczędził autor drobiazgów, malujących stronę obyczajową ludów wschodnich.

Odczyty p. Święcickiego poważnemi studyami nazwać trudno, są one bowiem raczej barwnemi pogadankami, w których wiadomości zajmujące lub pożyteczne mieszają się ze zdaniami nieuzasadnionemi. W Chinach, Japonii, Indyach, Arabii i Persyi pozostawał p. Święcicki polakiem, zachowując i „rodzimą“ poczciwość jak również — co gorsza — „rodzimę“ ciasnotę poglądów. Głębości i oryginalności w jego wywodach nie dostrzegliśmy.

August Wilkoński.

M. Gawalewicz.

Pracę swoją sam p. Gawalewicz skromnie nazwał „kartką napisaną na marginesie historyi literatury.“ Rzeczywiście niema ona pretensyi do nazwy studyum, ale jest ciekawą i umiejętnie nakreśloną sylwetką „chirurga filozofii.“ Prelegent nie wdawał się bynajmniej w charakterystykę dzieł humorysty, natomiast na podstawie listów Wilkońskiego do A. Szabrańskiego, ówczesnego redaktora *Biblioteki warszawskiej*, przedstawił nam wizerunek człowieka, jego przekonań, poglądów i charakteru. Zdaje się, że w ramach odczytu można było wszechstronniej przedstawić Wilkońskiego, nie jest bo on znowu tak ważną w literaturze naszej postacią, żeby warto mu było poświęcać całe monografie. Nie winimy jednak p. Gawalewicza, że pomijając autora, ukazał nam głównie człowieka, bo człowiek ten robi bardzo sympatyczne wrażenie. Prelegent podkreślił wyraźnie postępowe i demokratyczne poglądy Wilkońskiego, które dla nas dziś już nie wystarczają, ale w swoim czasie miały wpływ doniosły. P. Gawalewicz nie jest bezwzględnym czcicielem swego bohatera, owszem zaznacza słabe jego strony — jak np. lekceważenie poważnej nauki, zwłaszcza filozofii, chociaż braki te stara się jeżeli nie usprawiedliwić, to przynajmniej wytłomaczyć. Jako przyczynek do historyi literatury naszej praca prelegenta powinna być wydrukowaną, korzystał w niej bowiem z niewydanego materyału. Należałoby tylko wyjaśnić dokładniej stanowisko Wilkońskiego wobec prądów, nurtujących społeczeństwo nasze po 1840 r. Prelegent zalicza A. W. do obozu postępowego bez żadnych zastrzeżeń; tymczasem w rzeczywistości zajmował on, jak również i ówczesna *Biblioteka warszawska*, stanowisko pośrednie, zarówno nieprzychylne skrajnym zachowawcom, grupującym się około *Tygodnika powszechnego*, jak i obozowi młodzieży. P. Gawalewicz sam wspomniał o tem, mówiąc o stosunku Wilkońskiego do t. z. cyganów literackich, ale za mało szczegół ten zaakcentował. Ciekawe są bardzo zdania Wilkońskiego o Kraszewskim, do którego humorysta żywi pewne uprzedzenie i nazywa go pisarzem niemoralnym. Wilkoński był wyznawcą zasady, która każe trzymać się „złotego środka,“ nie było w nim jednak tej „świętej złości, która daje tylko przekonania wybitnie zarysowane a która czyni właśnie prawdziwych satyryków.

Słaby głos prelegenta nie pozwolił słuchaczom ocenić należycie literackiej wartości odczytu, która stanowi niezaprzeczoną jego zaletę, jak również szczerość, z jaką p. Gawalewicz postępowe przekonania swoje zaznaczył.

P.

LIBERUM VETO.

Rozkosze obywateli tego świata. — Wojna i teatr. — Król Milan i książe Aleksander. — List Vogta i nasze zadowolenie, — Wielcy ludzie wobec Mierzwińskiego. — Jazda na ludziach. — Antipattizm, — Charakter tego ruchu narodowego. — Kilka poświęceń.— Na pogorzelisku grodzieńskiem. — Orzeszkowa jako przedmiot do szkicu malarskiego.

Nudnem byłoby życie obywatelskiego świata, gdyby nie wojny i przedstawienia teatralne z „gwiazdami.“ Wlecze się ono leniwe, senne, bezduszne, dopóki nie przyleci telegram, donoszący: że gdzieś ludzie postanowili się wyrznąć i wystrzelać lub też śpiewakowi, obrzuconemu kwiatami, wyprzęgli konie z karety. Listopad obdarował nas i wojną i pochodem tryumfalnym tenora i „kontrybucyą“ sopranu. Milan z Aleksandrem a Mierzwiński z Patti stanowią dziś czwórkę, na którą (przynajmniej z naszego punktu) oczy Europy są zwrócone.

Milan cieszył się dość szeroką u nas sympatyą: zaciągał bowiem pożyczki w Länderbanku i ma przystojną żonę z Małorosyi, a nadewszystko... Gdy wszakże do wypowiedzenia wojny nie umiał wynaleźć przyzwoitego pozoru i ostatecznie pokazał bułgarom swe mężne pięty, prawdopodobnie straci dużo z owej sympatyi, którą dla niego zwłaszcza „dobrowolnie urzędowe“ dzienniki galicyjskie żywią. Ale jako sprawca wojny — wojny, która karmi głodne gazety i dostarcza rozrywki obywatelom tego świata — zasługuje dotąd na uznanie, chociażby jeszcze prędzej wracał z wyprawy, niż na nią szedł. a w Belgradzie znalazł za dużo zgromadzonych zgniłych jabłek.

I książe Battenberg, chociaż niemiec, ale mający ćwierć krwi polskiej, znalazł u nas wielu życzliwych, szczególnie w sferze arystokratycznej, gdzie podobno mówią teraz (po bitwie śliwnickiej): A co *nasz* Aleksander!“ Kusi mnie nawet tajemne przeczucie, że władca bułgarski nie skorzysta — z ławki gienewskiej, którą mu zaofiarował w liście otwartym słynny przyrodnik Karol Vogt.

Trzecim a niewątpliwie najbardziej zwycięzkim bohaterem na widowni europejskiej jest obecnie Mierzwiński, który zdobywa południową Rosyę. Niech mi darują: Hannibal, Cezar, Karol V, Napoleon, ale wszyscy oni są mizerakami wobec naszego Mierzwińskiego. Nie sztuka na czele kilkudziesięciu lub kilkuset tysięcy żołnierzy rozbić nieprzyjaciela, nabrać jeńców i ładnych kobiet, ściągnąć haracz; ale wszystko to zrobić własnem gardłem. Mierzwiński literalnie jeździ na ludziach! czego przecież nie dokazali wielcy mężowie dawnych i nowszych czasów. W Charkowie taki miał zaprzęg przy swej karecie; w Kijowie wnoszono go na estradę i obnoszono po sali, rozrywano na relikwie chustkę od nosa, rękawiczki itd. (jakiś żydek prosił artystę o guzik brylantowy „na pamiątkę).“

No, mości Napoleonie, gdzie pana taki zaszczyt spotkał? Przyjeżdżały wprawdzie i do twej kwatery piękne damy, ale tylko one wiedziały, jaką nosisz bieliznę. Tymczasem bielizna Mierzwińskiego była przedmiotem długich rozpraw w prasie!

Z drugiej strony nie przeczę, że owa jazda na ludziach bardziej nadawałaby się do historyi i to starożytnej, niż do naszych czasów. Możnaby bowiem z pewną pociechą powiedzieć sobie:

— Jacy tam wtedy byli ludzie, a zresztą kto wie, czy kroniki nie kłamią.

Dziś zaś trudno wątpić o cywilizacyi rodu człowieczego, jak i o prawdzie doniesień. To jest fakt, że w Kijowie Mierzwińskiego wnoszono i obnoszono po sali.

Z niewiastą tak czynić nie wypada, bo ręce (jak ich nazwać?) zachwyconych tragarzów mogłyby okazać się nie dość ostrożne a przytem uszkodzić jakiś wdzięk — gumowy. A jednak ręczę, że Patti odważyłaby się na przyjęcie takiej czci w Warszawie, naturalnie pod warunkiem zachowania wszystkich guzików brylantowych. Ale niech o tem nie marzy! Wygwizduje ją prasa, wygwizduje publiczność, wygwizdują nawet hrabiowie. Jeden z najbogatszych i z ascetyzmu najmniej znanych oświadczył publicznie, że musi sobie odmówić przyjemności usłyszenia śpiewaczki, i złożył 25 rs. na korzyść biednych. Wogóle antipattizm wzrósł u nas do olbrzymich rozmiarów, ogarnął wszystkie sfery, stał się poważnym ruchem społecznym, narodowym. Nos jest narządem bardzo pięknym i użytecznym, ale jeżeli zbyt przerośnie miarę, bywa brzydkim i nieużytecznym. To samo rzec można o każdej opinii. Opór przeciwko bajecznym wymaganiom francuskiej śpiewaczki wypłynął z rozumu, ale gdy go rozdęto w obowiązek patryotyczny, zbliża się coraz bardziej do bezsensu. Kto mówi, że w czasie ogólnej biedy, wobec niedoli wygnańców pruskich, i pogorzelców grodzieńskich, wobec przymusowego bezrobocia — zapłacenie 12,000 rubli pani Patti byłoby nieroztropnością i urąganiem — kto tak mówi, warto go usłuchać. Ale kto z drobnej sprawy ekonomicznej wytwarza polityczną, narodową— ten bredzi, zwłaszcza jeżeli sypał bez skrupułu pieniądze na przedstawienia meiningeńczyków i owego hrabiego naśladować nie myśli. Patti jest dla nas za droga, ale dodajmy, że również za droga była i trupa meiningeńska, i szampanowe bale, i toalety karnawałowe, i meble paryskie i inne zbytki, których sobie wcale nie odmawiamy i przeciw którym nikt krucyaty nie obwołuje. Czemu Patti ma być wyłącznym przedmiotem wstrętu—nie pojmuję. Rzucono już na nią grad klątew — a nikt nie miał słów nagany dla owych panków, którzy zeszłego karnawału sprowadzali przybory kotylionowe z Francyi a bukiety z Włoch. Więc pytanie: czy my wogóle zaczęliśmy tępić rozrzutność, czy też tylko ograniczyliśmy ją względem jednej śpiewaczki? P. Hilary Knociński nie da 75 rs. za lożę, ale czy tenże p. Knociński nie kupi również za 1,200 rs. kolii cyrkówce? Oto jest kwestya!

Przyznaję się do omyłki: sądziłem, że na antipattizmie więcej skorzystają biedni, do których od pewnego czasu należy i literatura, jak wiadomo, przez oszczędność wyrzucana wszystkiemi drzwiami i oknami. Zawiodłem się: ani Biuro nędzy wyjątkowej, ani uczniowie, ani wydawcy warszawscy, ani wygnańcy pruscy, ani pogorzelcy grodzieńscy — nic nie zyskali na tym ruchu. Ci ostatni zresztą nie doznają już złudzeń. Na strasznem popielisku stoi smutna, cierpiąca kobieta, która załamała ręce, bo już rzadko kto przynosi jej jałmużnę do rozdziału między ubogich. Tą kobietą, tym duchem opiekuńczem Grodna jest Orzeszkowa; zapytajcie, a ona wam powie, jak tam miłosierdzie nie dorosło jeszcze do klęski. Ciekawym, czy też który z malarzów wziął znakomitą i zacną kobietę za przedmiot do okolicznościowego szkicu? Pójdę na otwartą świeżo wystawę i zobaczę.

Poseł Prawdy,

NA WIDNOKRĘGU.

Okropne czasy. — Co wiemy o chłopie. — Opisy gospodarstw. — Korsarze na Wiśle. — Do czego służy statystyka. — Związek towarzystw spożywczych.— Osuszenie błot. — Pisarze gminni.

„Okropny czas! Nikt nie pamięta takiego zastoju społeczno-ekonomicznego; wszyscy żyją z dnia na dzień bez żadnej myśli— przewodnika przyszłości“ — skarży się w *Gazecie warszawskiej* p. Aleksander Jelski i pociesza się tylko nadzieją, „że taki stan rzeczy długo trwać nie może, więc musi się doczekać rychłej restauracyi (?), albo się zakończy krachem, którego doniosłości nikt obliczyć nie potrafi.“ Nie tak może poważnie, ale nie mniej tragicznie i więcej zrozumiale brzmią doniesienia innych korespondentów. Na zboże, na kartofle, które obrodziły w tym roku, nie ma nabywców, chociaż cena ich spadła w niektórych miejscowościach do 15 kopiejek za korzec, gorzelnie upadają, hodowla bydła nie opłaca się itd. Z takich szczegółów składa się całość, nazywana przesileniem rolniczem. Nazwa ta jest za ciasną i za szeroką jednocześnie. Ciężka zmora bezsilności i zastoju dusi bowiem nietylko rolnictwo, ale również przemysł i handel, krępuje działalność społeczną, obniża poziom uczuć obywatelskich i moralnych, ubezwładnia wszelki ruch, tłumi wszelkie objawy życia. Co jest przyczyną a co skutkiem—dojść nie łatwo. Wątpię też, czy nawet p. Jelski potrafiłby z tej gmatwaniny oddzielić nić przewodnią, oczekiwanej przezeń „restauracyi.“

Wszystko to jednak dotyczy tylko „klas przodujących“ społeczeństwa, które mają na sprzedaż zboże, okowitę, kartofle, ziemię ojczystą, godność własną, których można pozbawić dochodów z gospodarstwa i propinacyi, jak również praw, honoru, dobrobytu i innych zbytków cywilizacyi. One to tylko posiadają dobra moralne i materyalne, które stracić mogą wszelką wartość. Pozostaje jednak jeszcze cała masa narodu, tłum chłopski, o którym zupełnie powiedzieć nie możemy czy doświadcza objawów „przesilenia,“ we wszystkich formach. O tym Maćku, który, co zarabia, to zjada, wiemy tylko tylo że żyje, a więc je, że płaci podatki bezpośrednie, że dźwiga na swych barkach cały ciężar akcyzy, że wierzy w to, w co kościół rzymski wierzyć nakazuje, jak również w to, co ten sam kościół zakazuje, że uczy się niezbyt chętnie, że boi się „polaków,“ oczekuje nowych nadań, ma — jak to mówią — zmącone pojęcie o własności, wreszcie chętnie sam kradnie las dworski i jednocześnie niemiłosiernie morduje złodziejów. Ale: co, jak i dla czego chłop robi i czem radzi sobie w życiu—na to odpowiedzieć nie możemy. Specyalni znawcy stosunków ludowych wiedzą tylko, jakiego koloru i kształtu sukmany noszą chłopi w danej miejscowości, lub też, że „Kaśka za piec Maciek za nią“ jest lubelską „Maciek z Kaśką się uwijał“ kujawską a „siedzi Kaśka w rzepnym dole“ radomską odmianą tej samej piosenki. Pocieszmy się jednak, bo niezadługo dzięki *petersburskiemu* towarzystwu opieki nad zdrowiem ludu dowiemy się, czem żywi się chłop polski. Tymczasem zaś zaznaczmy chwalebne usiłowanie kilku ziemian, którzy postanowili zbadać stan gospodarstw włościańskich w kraju. Panowie ci opisali szczegółowo 10. Uznając dobre chęci inicyatorów, pozwolę sobie zauważyć, że taki sposób badania nie da wcale oczekiwanych rezultatów. Opisy pojedynczych gospodarstw mają wielką wartość, ale wtedy tylko, kiedy przedstawiają gospodarstwa typowe pewnej kategoryi i służą jako przyczynek do obrazu statystycznego danej okolicy. Inaczej gdyby mieliśmy nietylko 10, ale nawet 10,000 opisów podobnych, nie doszlibyśmy do znajomości dokładnej stosunków gospodarczych włościan u nas. Jeżeliby jednak każdy z obywateli owych zebrał cyfry, dotyczące wsi, w której mieszka, albo kilku sąsiednich, i oprócz tego opisał jedno lub kilka gospodarstw—praca jego wtedy miałaby rzetelną wartość. Że to jest rzecz możliwa, dowodzi przykład Galicyi, gdzie zupełnie prywatną drogą zebrano nader cenne wiadomości. Z pewnemi zmianami kwestyonaryusz galicyjski nadawałby się i do naszych stosunków. Tylko że u nas znowu nikt na kwestyonaryusze nie odpowiada.

Nie będę opowiadał o licznych napadach i rozbojach, o ograbieniu dwóch pocztylionów, wykryciu bandy w Białymstoku itp. „zwyczajnych“ wypadkach. Muszę jednak zapisać fakt, który ze względu na położenie geograficzne naszego kraju wydać się może nieprawdopodobnym. Na Wiśle zjawili się korsarze, którzy nie napadają wprawdzie na statki pp. Fajansa i Górnickiego, ale rabują osady nadbrzeżne. W ubiegłym tygodniu napadli oni na kolonię niemiecką, w tak zwanych Holendrach, między ujściem Narwi a Płockiem, związali gospodarza z całą rodziną, zrabowali, co się dało i skrępowanych jeńców wzięli z sobą na berlinkę. Po kilku godzinach podróży statek przybił do małej wysepki, więźniów wyniesiono na ląd a złodzieje popłynęli dalej. Rozbitki na drugi dzień dopiero powrócili do domu. Okazuje się, że rabusie oprócz kilku drobnych sprzętów wzięli tylko 5 korcy ziemniaków, połeć słoniny i... portret Bismarka, którego zapewne uważali za świętego. Nowy ten, nieznany jeszcze w stosunkach naszych rodzaj rabunku zabił ćwieka w głowę wszelakim władzom przeznaczonym dla ścigania zbrodni. Kto powinien chwytać korsarzy? Chłop udał się ze skargą do wójta, wójt odesłał go do sędziego gminnego, ten znowu do inżeniera brzegów Wisły i wreszcie napowrót do wójta. Zwierzchnik gminy poradził poszkodowanemu zwrócić się do pokątnego doradzcy, który, nie wiele myśląc, palnął skargę do władz pruskich. Jeżeli te ostatnie przyjmą podanie, to może i złodzieja wynajdą.

W bandach rabusiów często przyjmują udział chłopi, jest to rzecz naturalna, bo przecież ani zamożny obywatel, ani poważny kapitalista rozbijać na drodze nie będą. W ostatnich latach powiększyła się znacznie ilość zbrodni, nic więc dziwnego, że wzrosła stosunkowo cyfra przestępców włościan. Czy to daje jednak prawo do biadań o upadku moralności wśród ludu? Nie zdaje mi się, bo, co najwięcej przyznać tylko można, że obniżył się ogólny poziom moralny społeczeństwa. Dziś więcej chłopów rozbija i kradnie niż przed 10 laty, ale też więcej panów fałszuje weksle. łupi kasy, bankrutuje podstępnie itd. Moraliści nie zastanawiają się wszakże nad tem, ale wciąż płaczą nad wzrostem przestępstw wśród ludu. Dowodów dostarcza im. rozumie się, statystyka, ta naukowa pałka o dwóch końcach. Oto np. pewien korespondent (miński), mówiąc o zepsuciu, jakie szerzy się wśród ludu, na poparcie zdania swego przytacza, że kiedy w 1880 r. było skazanych włościan 365, w r. 1882 cyfra ta wzrosła do 467. Wzrost ten wiele mówi, ale więcej powiedziałoby jeszcze zestawienie owej cyfry z innemi danemi. Kiedy bowiem włościanie stanowią przeszło 80% ludności gubernii, udział ich w przestępstwach wynosi tylko 40%. Mieszczanie w 1881 r. dostarczyli 408 skazanych a szlachta 114. Korespondent zna te cyfry, bo sam je podał, a jednak udaje, że głosu ich nie słyszy, albo nie rozumie tego, co one mówią.

Stowarzyszenia spożywcze w Królestwie postanowiły połączyć się w jeden związek w celu założenia wspólnej agentury handlowej. Inicyatywa wyszła od zarządu *Oszczędności* żyrardowskiej. Agentura taka da możność towarzystwom kupować produkty z pierwszej ręki, a więc taniej, idzie tylko o to, żeby koszta utrzymania agentów nie pochłonęły całego zarobku. Stowarzyszenia mogłyby same robić zakupy hurtownie, gdyby liczyły więcej członków, lub gdyby działalność ich nie opierała się nieraz na fałszywych podstawach. Dopóki towarzystwa nie obejmą kół szerszych, dopóki zarządy dbać będą więcej o wysokość dywidendy dla członków, niż o taniość towarów—dopóty żadne agentury nie pomogą. Tembardziej zaś nie pomogą wtedy, kiedy większość uczestników o istnieniu towarzystw zapomina zupełnie i nawet na posiedzenia ogólne nie chodzi.

Ziemianie chełmscy postanowili osuszyć znaczny obszar moczarów, ciągnący się wzdłuż linii drogi nadwiślańskiej aż do Bugu. Energia uczestników zdołała przełamać przeszkody, które nasze niedołęstwo nazywa zwykle niezwalczonemi. Największą trudność przedstawiały układy z włościanami, ale i ci zgodzili się na zamianę gruntów, kiedy ich odpowiednio wynagrodzono. Rozumiejąc dobrze interes własny, obywatele chełmscy nie targowali się o każdy morg łąki, lecz dziś ta hojność sowicie im się opłaci W ten sposób dało by się usunąć większą część szachownic i serwitutów, które według słów ziemian przynoszą gospodarstwu tysiące rubli ubytku, kiedy zaś idzie o ich oszacowanie układy rozbijają się o kilkanaście morgów, których wartość nie przedstawia nieraz sumy równej stracie rocznej.

Gazeta radomska podnosi starą, ale zawsze nader żywotną sprawę pisarzów gminnych. Ważne to stanowisko zajmować winni ludzie. przez gminę wybierani, w praktyce jednak mianuje ich wprost władza administracyjna. która nie ma możności dokładnego poznania kandydatów. Nadużycia pisarzów gminnych weszły w przysłowie, dla nas mieszkańców miast są oni śmiesznymi Zołzikiewiczami, ale dla chłopów Zołzikiewicz taki jest strasznym; to pan ich spokoju, mienia. dobrej sławy, często nawet życia lub śmierci. Najtroskliwsze zbadanie przeszłości kandydata powinno stanowić konieczny warunek jego mianowania, tymczasem w rzeczywistości pisarze rekrutują się z pośród odpadków kancelaryjnych. Równocześnie prawie z artykułem *Gazety* sąd radomski skazał dwóch pisarzów gminnych za oszustwo i inne nadużycia na więzienie i roty aresztanckie.

Nic przeszkodzi to im jednak po odsiedzeniu kary znowu dostać posadę. Obywatele ziemscy, którzy przecież są także członkami gminy, mogliby w tym wypadku żądać ścisłego stosowania prawa, każdą samowolną nominacyę zaskarżyć do właściwej władzy. Twierdzenie pesymistów, że takie działanie doprowadzi do zniesienia wyborów w drodze prawodawczej. niczego nie dowodzi. Lepiej nie mieć prawa, niż wyrzekać się go dobrowolnie. Chyba że taki mianowany pisarz jest bardziej pożądany dla dworu. bo wrazie potrzeby łatwiej dou „trafić.“ Może to i argument.

Gazety donoszą o licznych sprzedażach przymusowych majątków w Kraju zachodnim, ja zaznaczę tylko dwie — dobrowolne. Ks. Wittgenstein sprzedaje skarbowi olbrzymie swe dobra (przeszło milion morgów) w gubernii mińskiej. Jest to spuścizna po Radziwiłłach. P. Orzeszko zaś szuka nabywcy na swe dobra Dolsk (kilkanaście folwarków) na Wołyniu. Na tym majątku niema grosza długu!

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 26 listopada.

Wbrew przewidywaniom strategików dziennikarskich, którzy po pierwszem zwycięstwie przyznali sztabowi serbskiemu „znakomity plan,“ pomimo przewagi liczebnej i naśladowania taktyki pruskiej, armia serbska w ciągu ubiegłego tygodnia poniosła szereg klęsk. I właśnie ten „plan znakomity“ obejścia stanowisk bułgarskich był przyczyną porażki; kiedy bowiem książe Aleksander zgromadził znaczniejsze siły, łatwo mu było pobić rozrzucone oddziały serbskie. Bądź co bądź, szereg potyczek w d. 17 18 i 19 listopada pokazał, że wojska bułgarskie biją się dzielnie i że książe lub sztab jego posiadają zdolności wojskowe. Rezultatem tych bitew był odwrót armii serbskiej; 22-go bułgarzy zajęli napowrót przesmyk dragomański, obecnie zaś stoją nad granicą serbską lub może już ją przeszli.

O ile sądzić można z telegramów, serbowie ponieśli znaczne straty i cofnęli się w nieładzie; oddziały bułgarskie bowiem zabierają sporo jeńców, których odsyłają do Sofii. Wiadomość o zdobyciu Widdynia okazała się fałszywą, serbowie dotychczas oblegają to miasto i mszcząc się za porażkę, bombardują domy spokojnych mieszkańców. Król Milan zwala przyczynę klęski już to na mgłę, w czem naśladuje buletyny austryackie, już to na nieudolność lub złą wolę wyższych oficerów, których kilku oddał pod sąd. Przeznaczony z góry na kozła ofiarnego generał Jowanowicz zastrzelił się. Sztuczki te wszakże nie poprawią zachwianego stanowiska rządu serbskiego; prezes skupczyny wezwany został do kwatery głównej na naradę, król Milan bowiem obawia się rewolucyi i stara się jej zapobiedz. Wyrzeczenie się przez Aleksandra Rumelii było może przedwczesnem i nie potrzebnem, Turcya bowiem nie pomogła mu wcale. Ułatwiło ono jednak zadanie konferencyi, która nie wiedziała, jak wybrnąć z kłopotu. Obecnie postanowiono wysłać do Rumelii komisarza tureckiego i mieszaną komisyę europejską, która ma wysłuchać żądań ludności. Anglia sprzeciwia się takiemu rozwiązaniu sprawy i przedstawiciel jej odroczyć pragnie stanowczą decyzyę, tłomacząc się brakiem instrukcyj od swego rządu. Ośmielony tem poparciem, a więcej może jeszcze zwycięstwem książe Aleksander zwrócił się do Porty z prośbą, żeby wstrzymała się z wysłaniem komisarza, co zapewne nastąpi, ponieważ okazuje się, że rząd sułtana słucha rad angielskich. Jakikolwiek obrót przyjmą sprawy wojenne, pewnem jest, że Serbia nic nie zyska, straciła zaś kilka tysięcy ludzi i wiele pieniędzy.

Tymczasem Grecya zbroi się na gwałt, pragnąc w zawierusze ogólnej urwać kąsek dla siebie; dotychczas przecie Francya i Anglia powstrzymują ten wojowniczy zapał.

Parlament angielski został rozwiązany i niezadługo nastąpią wybory, w których przyjmą udział nowe warstwy wyborców. Zdaje się, że zwycięstwo konserwatystów jest zapewnionem, sam Gladstone nawet pochwalił politykę obecnego rządu w sprawie bułgarskiej. Irlandczycy zresztą, którzy w nowym parlamencie spodziewają się mieć około 100 członków, wystąpili z manifestem przeciw „zdradliwej i nieudolnej“ partyi liberalnej i obiecali poparcie swoje torystom.

Parlament niemiecki znowu rozpoczął swe posiedzenia. Posłowie polscy wnieśli interpelacyę w sprawie wydaleń, napisaną bardzo, bardzo... umiarkowanie.

W izbie francuskiej Brisson odczytał swój program, który bynajmniej nie zadowolnił radykalistów. Prezes ministrów mówi o konieczności zatrzymania zdobytych kolonij a nawet zapowiada nową wyprawę do Madagaskaru. Oświadczenie to wywoła rozprawy w Izbie i kwestya gabinetowa postawiona będzie jeszcze przed zebraniem się kongresu. Clovis Hugues zażądał amnestyi dla wszystkich więźniów politycznych, ministrowie pragną poczynić wyjątki, ale Grevy, który potrzebuje popularności dla swej powtórnej kandydatury, jest za ułaskawieniem zupełnem.

Wiedeń. Przedstawiciele mocarstw wezwali Serbię i Bułgaryę do zaprzestania kroków wojennych. Zawieszenie broni ma wkrótce nastąpić.

Madryt. Król hiszpański Alfons XII umarł. Urodzony w 1857 r. wstąpił na tron w 1875.

Lwów. Sejm galicyjski został otwarty w d. 25 listopada. Romańczuk zaprotestował przeciw wyłącznemu używaniu w przemowach uroczystych języka polskiego.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Grażdanin w ten sposób charakteryzuje położenie obecne (według *Wieku*).

„Powiadają mi, że Rosya stoi wobec zagadki trudnej do rozwiązania, i że nie wie jaką pójść drogą. Odpowiadam, że są dwie drogi, i obie bardzo proste.

— Jakież to? — pytają.

— Jedna — plunąć, i, do dyabła, niech sobie robią co chcą.

— No, a druga?

— Druga: oddać wszystkie części półwyspu bałkańskiego, nie wyłączając Bośnii i Hercegowiny, napowrót pod jarzmo tureckie, a potem zacząć ich wyswobodzenie *da capo*, tylko wedle innego programu.

— I żadnego innego środka już niema?

— Niema i być niemoże.“

W Warszawskim Dniewniku czytamy:

„Zagraniczne polskie gazety, wyczerpawszy aż do dna sprawę wypędzania polaków z Prus, chwytają teraz „wielki akt patryotyzmu“ spełniony w tak zwany „Dzień zaduszny,“ przez hr. Łubieńskiego który położył wieniec na mogiłę „pięciu ofiar“ te jest pięciu ofiar nieporządków ulicznych w r. 1861. W dzień ten, jak to wiadomo czytelnikom *Dniewnika*, a raczej przez trzy dni poświęcone pamięci zmarłych, niezliczone tłumy ludzi wszelkich stanów podążają na Powązki, jedni w celu rzeczywistym pomodlenia się na mogiłach rodziny i blizkich krewnych, inni, by przypatrzyć się ludziom i siebie pokazać. Lecz w liczbie 400-tysięcznej ludności Warszawy są i „żartownisie,“ przyjeżdżający na Powązki dla zrobienia politycznej demonstracyi. Taki „żartowniś,“ zwykle nie chcąc osobiście kłaść wianka na znakomitą mogiłę, poleca to zrobić jakiejkolwiek babie lub dziadowi i potem bardzo jest zadowolony, widząc, jak policya babę lub dziada aresztuje. W roku obecnym na mogiłę „ofiar,“ wianek raczył położyć własnoręcznie hr. Łubieński i natychmiast został aresztowany, a następnie odwieziony na policyę. Po sprawdzeniu jego osobistości, jak również i tego, że jest on austryackim poddanym, polecono mu bezwłocznie wyjechać za granicę; lecz źle rozumiejąc język rosyjski, hr. Łubieński widocznie nie pojął, co znaczy „bezzwłocznie“ (niemiedlenno) i przedłużył swój pobyt w Warszawie. Wtedy polecono przewieźć go w towarzystwie oficera żandarmów za granicę, którą przejechał 25 października v. s. (6 listopada). Oto jaką była sprawa: *ni plus ni moins.*“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Przedstawiony w zeszłym tygodniu po raz pierwszy dramat Augiera *Diana* w tłomaczeniu K. Kaszewskiego, jest utworem młodzieńczym znakomitego autora, w którym talent jego nie zmężniał jeszcze.

Sztuka ta bezwątpienia średnia, ale ma piękne sceny, a czwarty jej akt, zawierający scenę pomiędzy Richelieu'em a Ludwikiem XIII, zawiera głęboką naukę miłości dla kraju, poświęcenia na jej ołtarzu osobistych nienawiści.

W tym akcie Augier wznosi się na pewien poetyczny poziom, w innych jest tylko poprawnym i szlachetnym.

Dla dzisiejszych czasów dramat ma już za mało efektu, ale można go wysluchać z pewną przyjemnością. Rolę główną grała p. Marcello—gorąco, z zapałem, nie zawsze dość miarkowanym.

P. Lüde bardzo wdzięcznie zarysowała rolę baronowej—inni spełnili swe zadanie dobrze lub przyzwoicie, chociaż parę ról mogłoby wyjść szczęśliwiej przy dobrej obsadzie. Wystawa sztuki bardzo staranna.

Nowe asygnaty. Z powodu ciągłego fałszerstwa biletów bankowych, w początkach roku przyszłego puszczone będą w obieg asygnaty odbite według nowych wzorów.

Wspomnienia seminarzysty. *Warsz. Dniewnik* drukuje wspomnienia b. ucznia seminaryum w Lublinie. Jeżeli bezimienny autor mówi prawdę, to kradzieże, rozpusta i inne występki są w tym zakładzie zwyczajnymi objawami. Sprawa ta wymaga koniecznie szczegółowego wyjaśnienia.

Zapis. Zmarła w Kaliszu Aleksandra Nieniewska przeznaczyła dość znaczny majątek na stypendya i cele dobroczynne. 250 rs. rocznie na wpisy dla uczniów gimnazyum kaliskiego, 200 rs. rocznie jako stypendyum dla studenta uniwersytetu warszawskiego, dom murowany dla szpitala w Kaliszu, 4,000 rs. na pożyczki bezprocentowe dla rzemieślników i 14,000 rs. dla różnych zakładów dobroczynnych.

1,130,082 katolików znajduje się według rubryceli w guberniach wileńskiej i grodzieńskiej, stanowi to około 50% ogólnej liczby mieszkańców.

Zjazd przedstawicieli przemysłu żelaznego odbędzie się w Petersburgu w początkach grudnia. Program zjazdu porusza wiele spraw mających znaczenie dla przemysłowców tutejszych.

Reforma. *Kur. warszawski* donosi, że wiele ulic w naszem mieście otrzyma nowe nazwy, łatwiejsze do wymawiania dla rosyan.

Uniwersytet warszawski liczy w r. b. 1,228 studentów, mianowicie na wydziale filologicznym 58, matematyczno przyrodniczym 136, prawnym 437, i medycznym 597, oprócz tego 139 farmaceutów i 5 wolnych słuchaczów.

Nowy minister austryacki p. Gautsch ma zamiar ograniczenie samorządu uniwersytetów, które wskutek „nieokiełznanej wolności nauczania zostały siedliskiem ateizmu i rozpraw politycznych.“ Przydałoby się takie ograniczenie w uniwersytecie lwowskim, tam bowiem prof. Dybowski śmiał wyrazić się wobec arcybiskupa, że Darwin był znakomitym uczonym. Co się nie dzieje.

Wystawa szkiców została otwartą; obszerniejszą wzmiankę podamy później.

Ulgi dla cukrownictwa. Wskutek próśb wytwórców premium od cukru, wywożonego zagranicę, ustanowiono na 80 kop. od puda. Ulga ta trwać będzie do 1 maja.

Prasa polska. Dwutygodnik *Żyd polski* wychodzić zaczął w Krakowie od 15 listopada.

Bibliografia. *Kalendarz „Hodowcy,“* rocznik gospodarski ilustrowany na rok 1886. Warszawa.

— Erazm Majewski, *Owady żyłkoskrzydłe* (Neuroptera polonica). Materyały do Fauny krajowej, z dodaniem projektu odnośnego mianownictwa polskiego. Warszawa.

— Stanisław Windakiewicz. *Życie dworskie Kochanowskiego.* Kraków.

Ludność Bośnii powiększyła się w ciągu ostatnich lat 6 o 15% i wynosi obecnie 1,336,000 mieszkańców. Własność ziemska znajduje się w ręku 8,162 begów i 117,466 t. z. wolnych chłopów, oprócz tego liczą jeszcze 197,833 dzierżawców.

Po cichu. W fortecy poznańskiej osadzono 11 oficerów brunświckich, którzy oświadczyli się za ks. Cumberlandem. Swoboda przekonań uszanowana.

Chedery. Przed wydaniem znanego rozporządzenia o języku rosyjskim w szkołach żydowskich, w Warszawie było około 390 chederów z 5,748 uczniami. Z tej liczby zamknięto 320 szkół, tak że obecnie wraz z nowo otwartemi jest ich 178 z 4,292 uczniami.

Uczniowie aptekarscy, którzy pragną wstąpić na kursy farmaceutyczne, według nowego rozporządzenia władzy szkolnej powinni przedstawić świadectwo z ukończenia 6 klas.

W Akademii sztuk pięknych w Petersburgu na wydziale architektury złote medale otrzymali pp. Radkiewicz i Bogdanowicz, na malarskim zaś p. Ciągliński stopień artysty klasowego za obraz p. t. *Kąpanie owiec* i p. Krzaczkowski stopień akademika za krajobrazy.

Nowa wystawa. W Chicago odbyła się wystawa piękności męzkich.

Koncert. Taki tytuł nosi ostatnia z pośmiertnych komedyi Fredry, nieznana dotychczas publiczności. Odegrano ją przed kilku dniami w Krakowie.

Ludwiek Riel, przywódca powstańców kanadyjskich, został powieszony.

Kara. Dziennik *Grażdanin* otrzymał pierwsze ostrzeżenie, za przedstawienie w fałszywem świetle nowych rozporządzeń, dotyczących floty.

Chłopi, którzy przesiedlili się z gubernii radomskiej do Syberyi osiedli we wsi Kuzowiewoj o 9 wiorst od Tomska i—jak donosi *Sibirskij Wiestnik*—cierpią straszną nędzę.

Statystyka. Lekarzy w państwie rosyjskiem liczą 33,400 mężczyzn i 380 kobiet, 2,100 weterynarzy, 500 okulistów i 2,600 aptek.

Zmarli. Leon Ulrich, wychodźca z 1831 r., znany tłomacz Szekspira.

— Aleksander Szukiewicz, dziennikarz, b. redaktor *Czasu*.

OFIARY.

Na wydalonych z Prus. Łapuszyński rs. 5, Kosiński rs. 5, Skupiewski rs. 3, Skupiewski rs. 3, Mewus rs. 3, Jakutowicz rs. 3, Moszczyński rs. 2, Busz rs. 2, Hryckiewicz rs. 2, Jędrzejewski rs. 2, Kopczyński rs. 1, Korff rs. 1, Dąbrowski rs. 1, Gierłowicz rs. 1—z Pińska A. Kłopotowski z Charkowa rs. 1, Wacław Łopuszyński rs. 5, Inżynier Chełmicki z Wysznie-Wołoczka rs. 25.

Dla studentów warszawskiego uniwersytetu. G. R. za pośrednictwem W. R. rs. 5.

Na wpis dla uczniów. Dr. Krajak i F. O. rs. 10—z Podola z Krasnosiołki; Inżenier Chełmicki z Wysznie-Wołoczka rs. 5, Wacław Łopuszyński rs. 5, Marya Lewicka z Czereszenki rs. 1.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Ноября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski